



KATHLEEN O'BRIEN

Kiedy dręczy cię sen



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mężczyźni!

Hilary Fairfax siedziała w zatłoczonym korytarzu sądu obok pochlipującej siostry. Zagryzała zęby aż do bólu. Tak, zawsze chodzi o mężczyzn!

Objęła Terri ramieniem, starając się uspokoić jej drżenie, uciszyć spazmatyczny oddech. Niebawem wezwą Terri na salę sądową. Przecież ten facet nie może urzeć jej w takim stanie!

Ale drżenie nie ustawało. Przeklęty typ! Hilary miała nadzieję, że Terri w końcu zdoła zapomnieć i raz na zawsze przestanie płakać. Niestety. Siedzi tu teraz, wplątana w sprawę rozwodową, która od nowa wskrzesi wspomnienia całej tej nieszczęsnej historii. A wszystko za sprawą miłości do faceta, nie zasługującego na to, by czyścić jej buty.

- Nie przejmuj się, kochanie - Hilary ścisnęła ramię siostry, usiłując dodać jej otuchy. - Adwokat jego żony chce ustalić jego sytuację materialną, zdobyć podstawowe informacje na temat wartości mieszkania, stanu majątkowego... itepe. Chodzi tylko o pieniądze.

Ale Terri nie odpowiadała. Wpatrywała się w swoje nerwowo splecione dłonie i z trudem łapała oddech. Hilary czuła, jak twardnieje ukryta głęboko w jej wnętrzu grudka gniewu. To naprawdę niesprawiedliwe. Terri ma zaledwie dziewiętnaście lat. Jutro wyjeżdża na studia. Powinna teraz pakować się, śmiać, snuć plany... Tymczasem płacząc siedzi na tej ławce tuż obok jakiegoś cuchnącego włóczęgi, oskarżonego Bóg wie o co.

Hilary szybko zamrugnęła, czując, że do oczu napływają jej łzy wściekłości. Musi się opanować. Awantury nie ułatwią sytuacji. Głęboko wciągnęła oddech, usiadła prosto i usiłując oderwać się od własnych myśli, wbiła wzrok w różnobarwny tłum stłoczony na korytarzu.

Iluż tu ludzi w późne piątkowe popołudnie! Czyżby wszyscy, podobnie jak Tern, byli wplątani w jakieś obrzydliwe historie?

Lśniące, brązowe drzwi sal sądowych, wszystkie równie anonimowe i szczelnie zamknięte, nie udzielały żadnej odpowiedzi.

Wygląd ludzi sugerował znacznie więcej. Na przykład prawnicy - eleganccy, spokojni, można by rzec zadowoleni z siebie - wyraźnie odcinali się od stremowanych świadków. Nie tylko Terri tu płakała. Na wprost nich, oparta o ścianę, z rękoma ciasno skrzyżowanymi na piersi, stała młoda kobieta, której łzy uparcie spływały po bladych policzkach. Hilary nie miała wątpliwości - ich przyczyną był mężczyzna. Westchnęła, pełna niesmaku i rezygnacji. Zapewne łzy tej młodej kobiety wycisnął zły syn, nikczemny mąż lub nielojalny przyjaciel. Mogła się założyć, że był to mężczyzna. Przecież każde rozdarte serce kobiety jest jego dziełem!

Jej wzrok błędził dalej, by nagle się zatrzymać. Mężczyzna... Może właśnie taki, jak ten, który stoi o dwie ławki dalej i rozmawia z kimś, kto wygląda na adwokata. Tak, tacy jak on zawsze budzili w niej najwyższą niechęć od pierwszego wejrzenia. Trochę przypominał jej ojca - bawidamka, trochę wpatzonego w siebie pięknisia z ostatniego roku jej studiów, a trochę jakiegoś filmowego gwiazdora. Daje głowę, że ten facet przysparza komuś zmartwień, wielkich zmartwień, myślała.

Przyglądała mu się uważnie, folgując swoim uprzedzeniom z tym samym masochistycznym, przewrotnym upodobaniem, z jakim wciąż dotykamy bolącego zęba. Co właściwie budziło w niej taką niechęć? Och, trudno nawet zliczyć!

A więc nie podobało jej się to, że kosztowny, szarobłękitny garnitur był wyraźnie dobrany do koloru jego oczu. I one jej się nie podobały. Mężczyźni o takich oczach, z całą ich zabójczą zmysłowością pod aroganckim zarysem brwi, byli zbytnio przyzwyczajeni do podporządkowywania sobie innych. A ta kwadratowa szczęka... Szczęka zaciętego zawodnika. Kontrastowała z tymi oczami i z tymi cholernymi dołkami, które pojawiały się na jego twarzy za każdym razem, gdy uśmiechał

się do znajomego prawnika. Z jego zachowania wyraźnie emanowała męska siła. Taki to jada na śniadanie złamane serca na twardo...

- Theresa Fairfax - drzwi sali sądowej otworzyły się na oścież, a stojący w nich mężczyzna rozglądał się wokół. Terri podskoczyła.

- Oddychaj głęboko, kochanie - szepnęła Hilary, pomagając siostrze utrzymać się na drżących nogach. - I trzymaj wysoko głowę. Nie zrobiłaś nic złego. To nie ty odpowiadasz za kłamstwa tego łajdaka.

Terri uśmiechnęła się niepewnie, ale Hilary odetchnęła z ulgą widząc, że jej siostra podnosi głowę do góry.

- Tutaj! - krzyknęła Hilary do mężczyzny stojącego w drzwiach, który zaczął niepewnie rozglądać się po korytarzu.

Terri wygładziła pasek, rzuciła przez ramię ostatnie rozpaczliwe spojrzenie i zniknęła w drzwiach sali sądowej.

Hilary musiała mocno chwycić się twardej drewnianej ławki, by nie pobiec za nią. Jej mała siostrzyczka, sama na tej sali, zdana na pastwę prawników... I jeszcze musi oglądać tego bydlaka! Czula, jak tężeją mięśnie jej nóg, jak powodowana pierwotnym instynktem zemsty szykuje się do skoku, gotowa podjąć walkę.

Ale zdołała jakoś usiedzieć, pocieszając się myślą, że żona tego łajdaka odpowiednio złołi mu skórę, nawet jeśli nie w sensie dosłownym, to na pewno w kategoriach prawnych.

Zamykając oczy, Hilary głęboko wciągnęła powietrze, tak jak to zalecała Terri. Mężczyźni...

- Dzień dobry, panno Fairfax - rozległ się głęboki męski głos, jakby przywołany jej oskarżeniami.

Brała właśnie głęboki oddech, toteż omal się nie za-krztusiła.

- Czy mogę usiąść?

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Kimżeż na Boga. .. Stał nad nią ten sam mężczyzna, którego przed chwilą obserwowała. Pożeracz serc. Wskazał na puste krzesło obok niej.

- Można?

Początkowo nie odpowiedziała, zaabsorbowana powolnym dociekaniem jakiejś logicznej przyczyny, niczym przeładowany komputer, poszukujący właściwego hasła. Poszukujący bez skutku. Skąd ten obcy mężczyzna znał jej nazwisko? Nigdy go nie spotkała. Tego była zupełnie pewna.

Czyżby słyszał, jak wzywano Tern i połączył ich nazwiska? Możliwe, ale o co mu chodzi? Może chce poflirtować dla zabicia czasu? Wątpliwe. Hilary nie cierpiała na fałszywą skromność. Wiedziała, że ze swymi długimi kasztanowymi włosami, wielkimi, zielonymi oczyma i szczupłą sylwetką może uchodzić za bardzo ładną dwudziestosześcioletnią kobietę. Ale nie mogła być w typie tego mężczyzny. Nie miała przecież wyzywającej urody tych wystrzałowych ślicznotek, które - jak mówiła jej intuicja - musiały odpowiadać gustom tego faceta.

No cóż... Jeśli nawet jego pytanie jest niezrozumiałe, to przecież każdy może zająć wolne miejsce...

- Proszę - powiedziała oschle, choć instynkt ostrzegał ją, że źle czyni.

Z bliska okazał się jeszcze bardziej niebezpieczny. Jego ciemnobrązowe, bardzo gęste włosy układały się miękko nad czołem, a po bokach, niczym złapana w locie błyskawica, przecinała je srebrna smuga. I oczy... Nie, tego doprawdy za wiele. Jeśli nawet zdołał dostrzec jej niechęć, zupełnie ją zignorował. Jednym znaczącym spojrzeniem skłonił obdartusa, by ten, bełkocąc coś niezrozumiałe, przesunął się na dalszą ławkę.

- Sekretarka pani poinformowała mnie, gdzie można panią znaleźć - powiedział, sadowiac się na krześle z łokciem umieszczonym na oparciu, twarzą zwrócony ku niej.

- Czekałem, aż wezwą pani siostrę. Odniosłem wrażenie, że ona potrzebuje pani bardziej niż ja.

Bardziej niż ja? Zmarszczka na czole Hilary pogłębiała się w miarę, jak rosło jej zdumienie. Przypominało to zły sen, w

którym nagle znajdujesz się na środku sceny, nie znając roli, jaką masz zagrać.

- Przepraszam - powiedziała wolno. Chciała zachować równowagę, potraktować go niezbyt ozięble, lecz też nie szczególnie zachęcająco. Nie wyglądał na wariata, ale...

- Czy pan zna moją siostrę i mnie?

Uśmiechnął się, a na jego twarzy, jak na zamówienie, pojawiły się pełne uroku dołki.

- W gruncie rzeczy nie spotkaliśmy się nigdy, ale na pewno sporo o sobie wiemy. - Wyciągnął rękę. - Jestem Conner St. George.

- St. George? - powtórzyła z lekkim zdziwieniem w głosie.

Musiała wyglądać idiotycznie. Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, jakby nie pamiętała tego nazwiska.

- Pani kuzynka, Marlene, wyszła za mojego brata, Tommy'ego.

- Ach tak... - powiedziała, zmuszając się do zamknięcia ust. - Marlene często wspomina o panu w listach.

- Mam nadzieję, że wspomina pochlebnie - zauważył od niechcienia.

Nie oczekiwał nawet odpowiedzi. Ale to, co powiedział, tak dalece odbiegało od faktycznego stanu rzeczy, że rumieniec zakłopotania wolno ogarnął jej szyję i wystąpił na policzki. Pochlebnie? Skądże znowu! Marlene nienawidziła Connera St. George'a. „I on też mnie nienawidzi - pisała w ostatnim liście. - Nienawidzi mnie, ponieważ kochałam Tommy'ego, a on nie był do tego zdolny”.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy, od kiedy Tommy St. George zginął w wypadku na żaglówce, Marlene nie pisała niemal o niczym innym. Uparcie powtarzała, że Conner, jej szwagier, nie chciał, by Tommy poślubił właśnie ją, że ten skąpy tyran trzyma w garści pieniądze jej męża i że własne interesy pochłaniają go tak dalece, iż nie zwraca na nią najmniejszej uwagi.

Tak, Hilary wiele o nim słyszała. Jednakże nie było to nic dobrego. Czowała, że wciąż pałą ją policzki i wyobrażała sobie, jak musi teraz wyglądać. Osoby rudowłose nie powinny złościć się ani wstydzić, gdyż odbija się to natychmiast na ich jasnej cerze.

Cisza stawała się kłopotliwa. Spojrzenie Connera przemknęło po jej rozognionej twarzy, a Hilary zdawało się, że w głębi jego szarobłękitnych oczu rozbłysła iskierka sardonicznego rozbawienia.

- Rozumiem. Trudno - powiedział miękko. - O pani wyraża się ze znacznie większą sympatią.

Był więc w pełni świadom, co myśli o nim Marlenę. A wnioskując z uśmiešku, który pojawił się na jego ustach, świadomość ta jedynie go bawiła, tak jak bezradna złość dziecka może tylko bawić nieczułych dorosłych.

Hilary czuła, jak narasta w niej gniew, który tlił się już od miesięcy za sprawą relacji kuzynki. Kawał drania! Marlenę nie jest dzieckiem. Owszem, ma dziewiętnaście lat, ale już jest wdową. Wdową po jego rodzonym bracie. I spodziewa się dziecka. To będzie dziecko jego brata.

A mimo to ten typ odważa się źle ją traktować! Hilary, która pomimo wad Marlenę bardzo ją kochała, gwałtownie się najeżyła. Usiadła prosto i sztywno, zwężając swoje zielone oczy. Dlaczego właściwie ma udawać, że Marlenę, jak i ona sama, darzą go sympatią? Nie, nie będzie bawić się w uprzejmości. Ten samolubny drań przecież do reszty unieszczęśliwił jej kuzynkę.

- Bardzo lubię Marlenę - powiedziała chłodno, czując z ulgą, że rumieniec znika z jej policzków. - Jest dla mnie i dla Terri niczym siostra.

- Znakomicie - odparł, wciąż się uśmiechając. - Cieszę się, że nie przesadzała, mówiąc o waszych związkach.

- Nie mogła przesadzać. Jesteśmy przecież bliską rodziną.

- Znakomicie się składa - powtórzył nie zbity z tropu subtelną naganą - ponieważ Marlenę potrzebuje psychicznego wsparcia. Pani wie, że jest w ciąży?

Hilary niecierpliwie skinęła głową. Jak mogłaby nie wiedzieć!

- Do czasu narodzin dziecka będzie mieszkać w moim domu w górach. - Ton jego głosu nie uległ zmianie, ale Hilary zdawało się, że słyszy w nim jakby nutę niechęci.

No tak, teraz już rozumiała. Ten nieskazitelnie ubrany, chłodny człowiek interesu i chaotyczna, zmienna Marlenę...

- Ostatnio Marlenę jest bardzo przygnębiona. Nie umiem powiedzieć, dlaczego. Być może czuje się samotna. Jestem teraz zajęty przygotowaniem kontraktu, co pochłania mi większość czasu, toteż często towarzyszy jej tylko moja gospodyni. Marlenę potrzebuje obecności kogoś bliskiego, a pani i pani siostra jesteście jej jedyną rodziną.

Hilary próbowała zapanować nad ogarniającą ją wściekłością. W tym, co mówił, nie było przecież cienia współczucia dla Marlenę. Zagrzebana w górskim odludziu, samotna, skazana na całkiem naturalne lęki i obawy związane z ciążą i macierzyństwem, ze wspomnieniami o swym młodym mężu, który utonął zaledwie trzy miesiące temu. Któż na jej miejscu nie byłby przygnębiony?

Cóż z tego, że Conner nie aprobował małżeństwa brata z Marlenę! Czyżby zwabiło go to z obowiązku zachowania zwykłej przyzwoitości? Jak może mówić, że Marlenę nie ma rodziny! Nie, doprawdy, ten facet jest nie do zniesienia!

- Ma chyba także pana? - nadała swemu głosowi lodowate brzmienie. - Mimo wszystko jest pan jej szwagrem.

Całkowicie zlekceważył jej uwagę.

- Do czasu sfinalizowania kupna Smoczego Potoku rzadko będę pojawiał się w domu - powiedział. Potem, jak gdyby uświadamiając sobie, iż Hilary nie ma pojęcia o Smoczym Potoku, dodał: - To miejscowość w górach Smoky, nie opodal domu, w którym mieszkamy z Marlenę. Moja firma prowadzi

negocjacje w związku z kupnem tej miejscowości. To dla mnie bardzo ważna sprawa. Kiedyś, lata temu, Smoczy Potok należał do mojej rodziny...

Przerwał, widząc właściwie odczytując wyraz jej twarzy.

Zrobiła wszystko, by zrozumiał, jak niewielką wagę przywiązuje do kontraktu handlowego w sytuacji, gdy ktoś z rodziny wymaga pomocy. Szybko zmienił taktykę.

- Poza tym Marlenę potrzebuje kobiety. Kogoś, z kim mogłaby porozmawiać.

- Chętnie do niej zadzwonię.

- Godzinna czy nawet dwugodzinna rozmowa przez telefon nic tu nie pomoże - przerwał. - Marlenę potrzebuje stałej obecności drugiej osoby.

Hilary zmarszczyła czoło, usiłując dociec, czego on właściwie oczekuje.

- Terri jutro wyjeżdża na studia - odparła z wahaniem.

- Naprawdę nie może...

- Nie chodzi mi o Terri - z miejsca odrzucił jej pomysł.

- Chodzi o panią.

- O mnie? - głos Hilary wzniósł się tak wysoko, że kilka osób w pobliżu odwróciło się z zaciekawieniem.

- Tak, to pani jest jej potrzebna - odparł, jak gdyby zamykał tym sprawę.

Hilary zacisnęła usta, rozwścieczona jego niedbałym tonem. Równie dobrze mógłby zamawiać pizzę. Cóż z tego, że byli sobie zupełnie obcy! Cóż z tego, że musi pokonać pięćset mil! Cóż z tego, że, być może, firma, którą prowadzi, wymaga jej obecności! Cóż z tego wreszcie, że ma dom i liczne obowiązki! To przecież dla niego bez znaczenia. Jej przyjazd będzie mu na rękę i dlatego powinna zaraz jechać. To naprawdę było absurdalne. Roześmiałaby mu się w twarz, gdyby tak bardzo nie przejmował jej los Marlenę.

- Bardzo panią o to proszę - uśmiechnął się ponownie, a na jego twarzy pojawiły się dołki.

Hilary zeszywniała. Świetnie. Teraz próbuje swoich wdzięków. Szkoda, że nie wie, jak bardzo jest uodporniona na ten tani wdzięk, za którym kryje się nie dobre serce i szlachetny charakter, lecz szczęśliwy zestaw genów. Taki wdzięk działa na niektóre kobiety równie nieodparcie i niszcząco jak narkotyk. Dowodem tego wiele lat temu była jej matka, a teraz jest siostra przesłuchiwana w sali sądowej.

Mężczyzna nie wiedział jednak, że ta kobieta z rodziny Fairfaxów jest obojętna na jego urok i wciąż nie przestawał się uśmiechać.

- Marlenę czeka. Przecież i tak bierze pani urlop. Góry o tej porze są przepiękne. To prawdziwa odmiana po fali upałów. W nocy temperatura spada do sześciu stopni.

Spojrzała gniewnie. W jaki sposób zdołał się dowiedzieć, że bierze urlop? Właściwie nie zamierzała w tym roku nigdzie wyjeżdżać. Całkowicie zaangażowana w przywracanie Terri równowagi psychicznej, zaniedbała swoją firmę - Agencję Pośrednictwa Tymczasowego Zatrudnienia. A właśnie, począwszy od zbliżających się Wszystkich Świętych, poprzez Święto Dziękczynienia aż po Boże Narodzenie, trwał najgorętszy okres pracy tego typu firm.

Była jednak zmęczona, wyczerpana zamartwianiem się o Terri, potrzebowała wypoczynku i, mimo wszystko, postanowiła urwać się na dwutygodniowy urlop. Skąd ten facet o tym wie?

- Pani sekretarka - odparł na nie zadane pytanie.

Hilary bezgłośnie jęknęła. Sekretarka miała zakaz informowania kogokolwiek o tym wyjeździe, ale widać była mniej odporna na męskie uroki niż Hilary.

- To tylko kwestia dwu tygodni - dodał. - Rzadko będę pojawiał się w domu, a Marlenę naprawdę wymaga opieki. Mówiąc szczerze, myślę czasem, że jest nie całkiem zrównoważona psychicznie.

- Czyżby? - Hilary znów się zjeżyła.

Nie całkiem zrównoważona! Cóż za protekcyjnalne określenie. Układ jego pełnych warg i rysunek ciemnych, opadających w dół brwi, wyrażały niechęć. Niewątpliwie uważał Marlene za dopust boży.

Mówiąc szczerze i Hilary zdarzało się tracić cierpliwość dla kuzynki. Ale była na tyle taktowna i na tyle wyrozumiała, by tego nigdy nie okazywać. Marlene nie miała łatwego życia.

- Czy mógłby pan to dokładniej sprecyzować? - spytała.

- Sądziłem raczej, że jest to dość jednoznaczne. A więc po pierwsze, często płacze. Nigdzie nie wychodzi, śpi całymi dniami, snuje się po nocach. Przypuszczam, że zażywa środki nasenne, choć Bóg jeden wie, skąd je bierze

- zasępił się. - Naraża w ten sposób dziecko. Nie mogę na to pozwolić.

Mięśnie Hilary napięły się mimowolnie w przeczuciu zagrożenia. Dzieciństwo Marlene było bardzo burzliwe. Straciła matkę mając zaledwie jedenaście lat, a jej stosunki z ojcem układały się tak fatalnie, że nim skończyła siedemnasty rok życia, uciekała z domu pięciokrotnie. Po raz ostatni uciekła do Północnej Karoliny, gdzie poznała Tommy'ego St. George'a. Hilary miała nadzieję, że tym razem życie kuzynki odmieni się na lepsze. Tymczasem Tommy zginął i Marlene znów była sama.

- Czy ma nudności? - Czuła się coraz bardziej zaniepokojona. Opisane symptomy wskazywały raczej na coś poważniejszego niż tylko przejściowe przygnębienie.

- Czy traci na wadze?

- Nie wiem. Może trochę - głos Connera sugerował, że nie przykłada on wagi do takich drobiazgów.

Hilary znów poczuła, jak ogarnia ją irytacja. Nic dziwnego, że Marlene czuła się nieszczęśliwa.

- Może powinien pan jej poświęcić trochę więcej uwagi?

- Dajmy spokój, panno Fairfax - mruknął niechętnie. - Tu nie wystarczą zwykłe słowa pociechy.

- W okresie ciąży zdarzają się różne reakcje. Tym bardziej że dotyczy to kobiety, która straciła męża w tragicznych okolicznościach - odparła Hilary, całą siłą woli panując nad swym tonem. Marlenę nic go nie obchodziła. Próbował tylko przerzucić trudny obowiązek opiekuna na kogoś innego, po to, by móc spokojnie wrócić do własnych interesów. - To po prostu młoda, wystraszona dziewczyna, sam pan może jej pomóc, nie wzywając posiłków. Doprawdy nie widzę powodów do paniki.

- Nie widzi pani? - Westchnął przeciągle i nachylił się w jej stronę. Z bliska jego oczy wydawały się niebieskie, a nie, jak zapamiętała, szarobłękitne. - A co powie pani na to, że...

W tym momencie otworzyły się drzwi sali sądowej i wypadła z nich Terri, pędząc w stronę Hilary ze ściągniętą, purpurową twarzą, tak jakby wstrzymywała oddech.

- Kochanie!

Zapominając o Connerze, Hilary zerwała się i rozpostarła ramiona. Terri dobiegła do siostry i przytuliła się łkając.

- To było straszne, Hilary! - wyrzucała z trudem przez łyzy. - Próbowali wmówić mi, że kłamię, a ja... ja... - jej słowa zniekształcał płacz.

- Cicho, cicho - uspokajała ją Hilary, gładząc miękkie, brązowe włosy Terri.

Ponad schyloną głową siostry dostrzegła spojrzenie Con-nera. On również wstał i milcząco, z twarzą bez wyrazu, obserwował obie kobiety. Trudno było odgadnąć, co myśli. Jednakże na podstawie tego, co mówił o Marlenę, mogła przypuszczać, że widzi w Terri jeszcze jedną histeryczkę.

- Porozmawiamy później - odezwała się do niego tonem, który brzmiał bardziej cierpko, niż zamierzała.

Już teraz wiedziała, że nie może opuścić Marlenę, ale za sprawą wewnętrznej przekory nie chciała mu tego na razie powiedzieć. Niech przez kilka godzin potrwa w niepewności. Dobrze mu to robi, jeśli czasem pomyśli o kimś innym niż on sam.

Zaczął coś do niej mówić, ale Hilary zlekceważyła jego protesty.

- Później. Teraz muszę zabrać siostrę do domu.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Hilary obawiała się, że będzie jej głupio. Dziecięce skarpetki i marszczona spódniczka w jej wieku? Ale zabawa coraz bardziej się rozkręcała. Ktoś wlał do jej coca-coli tyle rumu, że zapewne nazajutrz będzie miała kaca jak diabli, ale dziś czuła się wspaniale. Zresztą któżby się smucił, gdy brzmi „Rock around the Clock” w wykonaniu Billa Haleya i Comets.

Ten trudny dzień szczęśliwie już się kończył. Terri była w świetnym nastroju, jej perypetie uczuciowe należały do przeszłości, oby - modliła się Hilary - raz na zawsze. Sama natomiast niemal zapomniała o wyrazie gniewu zastygłym na twarzy Connera St. George'a, gdy odmówiła mu odpowiedzi, którą spodziewał się otrzymać jeszcze tego dnia. Niech się wścieka. Jutro będzie dość czasu, by mu powiedzieć, co postanowiła w sprawie Marlenę.

Pomyślała z wdzięcznością o tym psotnym uczniaku, który wlał tyle rumu do jej szklanki. Dzięki temu otrząsnęła się z przygnębienia. Jeszcze jeden drink, a zapominając o wszelkiej powadze, zacznie tańczyć razem z tymi smarkaczami, potrząsając włosami spiętymi w koński ogon i furkocąc sztywną halką.

Zresztą czemu nie? Terri uprosiła siostrę, by wystąpiła w obowiązującym na tej zabawie stroju z lat pięćdziesiątych. A Hilary była przecież gotowa zrobić dla niej wszystko, absolutnie wszystko...

W drzwiach, wychodzących na tył domu, pojawiła się właśnie łobuzersko uśmiechnięta Terri, podtrzymując biodrem tacę z kukurydzianymi ciastkami. Hilary poczuła, że łyzy gwałtownie napływają jej do oczu. Jakżeż kochała uśmiech Terri! Tak się bała, że na zawsze zniknął z jej ust. Podeszła do siostry, ujęła jej twarz w dłonie i pocałowała ją w czubek nosa.

- Wiesz co, korniszonku, kocham cię nad życie.

- Wiem - odparła Terri, odstawiając tacę. Zarzuciła rękę na szyję Hilary. - Ja też bardzo cię kocham. Przykro mi, że musisz tu zostać i tyrać na moje studia.

- Będzie mi cię brakowało. - Łzy niepohamowanie cisnęły się jej do oczu. Nie, to już naprawdę ostatni koktajl. - Będę za tobą tęsknić.

- Wszystko dobrze się ułoży, Hilary.

Obie siostry bez słowa skierowały wzrok na rękę Terri w miejscu, gdzie lekko uniesiony rękaw odsłaniał dwie długie blizny po wewnętrznej stronie nadgarstka. Terri pierwsza podniosła oczy.

- Naprawdę - powtórzyła stanowczo, opuszczając rękę tak, by rękaw przykrył blizny. - Będę miała tysiące randek, będę chodzić na mecze futbolowe, może nawet wezmą mnie do drużyny...

- I jeszcze będziesz studiować - Hilary usiłowała przybrać poważny wyraz twarzy.

- No cóż - odparła Terri z udawaną niechęcią - jeśli starczy mi czasu...

Hilary potrząsnęła głową, ale nie zdołała niczego powiedzieć. Tuż za kuchennymi drzwiami ktoś włączył szafę grającą i w ciepłym jesiennym powietrzu wybuchły wczesne przeboje Elvisa, całkowicie udaremniając konwersację. Wzniosła oczy do góry i jęknęła. Ktoś wzmocnił dźwięk. No tak, jutro wiele usłyszy na ten temat.

Ale tak świetnie się bawili! Hilary wyjrzała na zewnątrz, gdzie młodzież śmiała się i tańczyła. To naprawdę dobrzy przyjaciele. W ciągu ostatniego roku wiernie trwali przy Terri, telefonowali, pisali i przyjeżdżali tu, do jej domu, mimo iż sami studiowali w odległym mieście. Teraz zaś, gdy Terri mogła w końcu przyłączyć się do nich, nieco spóźniona, ale pełna wiary i optymizmu, tak bardzo się cieszyli, tak gotowi byli ją wesprzeć.

Hilary była im za to naprawdę wdzięczna. Ułatwiało jej to trochę rozstanie z siostrą. Tylko trochę.

Z trudem opanowała pragnienie zamknięcia dziewczyny w ramionach i tulenia jej do siebie tak długo, aż ukoi ból rozstania. Tymczasem jednak dźwignęła wazę wypełnioną cukierkami domowej roboty i pchnęła Terri ku drzwiom.

- Idź nakarmić złakniony tłum.

Ale tłum oddawał się innym przyjemnościom.

- A teraz uwaga! - zawołał młody człowiek, podczas gdy ktoś inny przełączył przycisk w grającej szafie.

Dwaj chłopcy chwycili długą tyczkę, której używano do czyszczenia basenu, i unieśli ją na wysokość klatki piersiowej. Wszyscy z entuzjazmem włączyli się do zabawy, klaszcząc i gwiżdżąc. Ustawiono się w rzędzie, podczas gdy wesoły rytm „Limbo Rocka” rozsadzał powietrze. Odstawiając tacę na blat ogrodowego barku, Terri stanęła na końcu kolejki.

- Ty też, Hilary - powiedziała, ciągnąc siostrę za rękę. - Zobaczmy teraz, co dały wszystkie godziny aerobiku.

Hilary opierała się ze śmiechem.

- Jestem tu przyzwoitką - powiedziała, usiłując się wyzwolić. - Ja tylko pilnuję.

- To świetna zabawa - nalegała Terri błagalnie. - Proszę cię.

Pozostali dołączyli się do niej.

- Chodź do nas, Hilary! - wołali z pożałowania godnym brakiem szacunku dla jej bądź co bądź zaawansowanego wieku.

Powinna była nauczyć ich, by zwracali się do niej: panno Fairfax i okazywali jej szacunek i posłuszeństwo. Teraz już za późno. Nim zdążyła przybrać odpowiednio wyniosłą minę, ktoś wyrwał jej z rąk wazę z cukierkami i pchnął ją na sam przód szeregu. Chłopcy trzymali tyczkę tuż przed jej nosem, śmiejąc się, gdy protestowała. Czuła na plecach popychające ją ręce. I wtedy rozległ się daleki, ledwie docierający do niej poprzez nagłący rytm muzyki, dźwięk dzwonka u drzwi.

- Dziękuję Bogu, jestem uratowana...

- Ja otworzę! - krzyknął młody człowiek i popędził w stronę domu. - Nie trać swojej kolejki, Hilary.

Gdy w końcu pogodziła się z losem, stwierdziła, że to świetna zabawa. Pierwszych kilka przejęć to była kaszka z mlekiem. Ale stopniowo stawały się one trudniejsze. Z grającej szafy dobywała się wciąż ta sama piosenka. Hilary czuła, że jej serce uderza w rytm muzyki. Tyczka opadała coraz niżej, aż w końcu niemal wszyscy się wykruszyli. Tych kilkoro, którzy wciąż pozostali na placu, otaczało rozentuzjasmowane grono widzów. Każdemu sukcesowi towarzyszyły gromkie okrzyki zachwytu, a każda porażka spotykała się z wybuchami śmiechu.

Hilary miała wrazenie, że kolana i uda palą ją z wysiłku, gdy kolejny raz przeciskała się pod tyczką, usiłując za wszelką cenę utrzymać równowagę. Jej włosy u nasady wilgotniały od potu, było jej za gorąco w obcisłym sweterku z bawełnianej dzianiny. Na koniec, podczas ostatniego przejścia, musiała wygiąć się tak dalece w tył, iż jej spięte w koński ogon włosy dotykały ziemi, a pierśmi niemal musnęła tyczkę.

Czuła silny ból w kolanach, pękał jej kręgosłup, ale wiedziała, że jest bliska zwycięstwa, jeśli tylko zdoła przesunąć głowę pod tyczką i nie utraci równowagi. Tłum kibiców szalał, tupiąc, klaszcząc i wykrzykując jej imię. Nie mogła jednak poradzić sobie z dwoma ostatnimi krokami.

Uniosła nieco głowę w nadziei, że może zdoła pokonać przeszkodę, i wtem dostrzegła nowego widza, który stał na wprost niej. Najpierw ujrzała popielate spodnie. Jej wzrok bowiem był na wysokości jego ud. W sekundę później w polu widzenia pojawiła się jednak twarz z silnie zarysowaną szczęką i dołeczkami, które formowało rozbawienie.

Dołki były tym razem bardzo, bardzo głębokie. Conner St. George nie uśmiechał się bowiem z samej tylko uprzejmości. Z trudem hamował wstrząsającą nim wesołość.

Gdy spojrzała w jego roześmiane szarobłękitne oczy, poczuła, że miękną jej kolana i bezwładnie padła na plecy.

Conner wiedział, że nie powinien się śmiać. Próbował pohamować rozbawienie, ale Hilary Fairfax, tak oschła i

nieprzystępna dziś po południu w sędzie, wyglądała tak komicznie, gdy zdumiona jego przybyciem nagle runęła na plecy, że nie potrafił się opanować. To było niewybaczalne. Miał wszakże nadzieję, że jego głośny śmiech zginie pośród odgłosów powszechnej wesołości.

Któż, na Boga, mógłby przypuszczać, że ta dziewczyna potrafi być tak urocza? Do tej pory widział w niej typową kobietę na kierowniczym stanowisku, wykształconą, dobrze ułożoną i piekielnie spiętą. Znał wiele takich kobiet, tak zresztą jak i mężczyzn. Doceniał ich kompetencję, ale poza pracą unikał ich towarzystwa.

Gdy widział ją teraz z wysoko zadartą spódniczką, odsłaniającą nagie uda, z zaczerwienioną, zawstydzoną twarzą pokrytą kropelkami potu, nie mógł uwierzyć, że to ta sama osoba.

Pozbierała się, uklękła, gorączkowo wygładzając obiema rękoma spódniczkę, i rzuciła w jego stronę wściekłe spojrzenie, jakby to on odpowiadał osobiście za istnienie grawitacji. Widział już wcześniej ten sam błysk złości w jej zielonych oczach. O tak, to ta sama kobieta. Cóż za temperament! Nie tolerowała świadków swojej klęski.

Starając się nadać twarzy wyraz, który nie zaogniałby sytuacji, wyciągnął rękę.

- Przepraszam, że przeszkadzam w zabawie - powiedział z taką powagą, na jaką mógł się zdobyć. Przychodziło mu to wszakże z trudem, gdyż jego usta same układały się do uśmiechu. Wyglądała na oburzoną, tak bardzo przypominała rozłoszczoną małą dziewczynkę ze swymi dziecięcymi miękkimi, kasztanowymi włosami opadającymi na oczy i rumieńcami na policzkach. - Muszę jutro wracać do Karoliny. Chciałbym raz jeszcze porozmawiać. Może zdołamy coś ustalić.

Niemalże widział, jak powracała do równowagi. Parokrotnie gwałtownie zamrużyła powiekami i błysk gniewu zgasł w jej oczach. Kilka razy głęboko wciągnęła oddech i plamy na jej

policzkach zbladły. Przybierając wyraz pełen chłodnej godności, przyjęła jego dłoń, ale wcale z niej nie skorzystała. Uniosła się sama. Wróciła do pozycji stojącej.

Uwolniła dłoń z jego dłoni tak szybko, jak tylko było to możliwe. Trudno byłoby dopatrzeć się w tym nieuprzejmości. Odruch ten wskazywał jednak, że St. George nie ma szans wejścia do pierwszej dziesiątki jej wybrańców.

- Proszę bardzo - powiedziała. Takiego tonu nie należało oczekiwać po kimś w marszczonej spódniczce i z końskim ogonem. Brzmiałby bardziej naturalnie w ustach poważnej kobiety w eleganckim kostiumie. - Porozmawiamy w domu.

Conner mógłby przysiąc, że gdy przechodziła obok niego, odczuł fizycznie powiew chłodu. No, no, ogień i lód, i to w ciągu dziesięciu sekund. Nie miałby zapewne szansy na setne miejsce na jej liście.

Wszystko to byłoby zresztą bez znaczenia, gdyby... - myślał, podążając w ślad za wyniośle kołyszącym się końskim ogonem - gdyby tylko zgodziła się pomóc w sprawie Marlenę.

Bezczelny typ! Hilary z taką siłą pchnęła rozsuwane szklane drzwi, że te z łomotem potoczyły się po szynach. Jakim prawem nachodzi ją w domu, nie zapowiedziany i nieproszony! Tacy mężczyźni jak Conner, którym świat wydaje się własnym podwórkiem i dlatego nie zważają na nic, doprowadzali ją do furii. A w dodatku, o Boże, jak idiotycznie musiała wyglądać, padając na wznak z rozrzuconymi nogami i zadartą do góry spódnicą. Nie mogła o tym myśleć...

Idąc przodem przez pokoje, czuła na plecach jego wzrok. Urządzając dom, dała upust swoim romantycznym skłonnościom. Firanki z irlandzkich koronek zdobiły okna, suto drapowane różowe perkale okrywały miękkie sofy, wszędzie obecne było przytulne drewno amerykańskiej sosny, a na stolikach stały wazon-y świeżych kwiatów. Hilary była przekonana, że w oczach Connera St. George'a jest to czysty kicz. W każdym calu sprawiał wrażenie zwolennika

estetycznych walorów chromu i szkła. Zapewne wypełniłby swój dom sprzętem elektronicznym i kosztownymi eksponatami sztuki współczesnej, które zresztą wybrałby za niego ktoś inny. Tak, to archetyp kawalera.

Pędziła przez hol, kierując się ku pracowni, która była w tym domu jedynym pokojem o charakterze na tyle oficjalnym, iż mogła tutaj omawiać interesy. Gdy przechodzili obok ścian gęsto pokrytych starymi rodzinnymi fotografiami, Conner zwolnił. Drgnęła, gdy zatrzymał się, by dokładnie obejrzeć zdjęcie wykonane w dzień jej czwartych urodzin. Była to fotografia wyjątkowo sentymentalna - lekko zamglona, usiana plamkami słońca, przypominała malarstwo impresjonistów. Mała dziewczynka wśród wysokich traw w wydętej wiatrem żółtej sukience, z delikatną aureolą złotorudych, rozwianych włosów. Wielkimi oczami ufnie i szczerze patrzyła prosto w kamerę. Tak, to było na długo przedtem, nim rozpadła się ich rodzina, a ona sama przestała wierzyć komukolwiek.

- Uroczę - powiedział Conner, nie odrywając wzroku od fotografii. Na jego policzkach zarysowały się ledwie widoczne dołki, jak gdyby zdjęcie rozbawiło go z jakichś tajemnych powodów, których nie zamierzał wyjaśniać.

- Wyjątkowo uroczę.

- Wszystkie czterolatki są uroczę - ucieła, przytrzymując drzwi do pracowni, by przepuścić go przodem. - To niezmiennie prawo natury.

Wydawało się jej, że zachichotał, ale zrobił to tak cicho, że nie mogła być tego pewna. Usiadła za biurkiem, wskazując mu fotel w rogu pokoju.

- Chciał pan porozmawiać.

Usadowił się wygodnie i, nim się odezwał, ogarnął badawczym spojrzeniem pokój i ją samą. Z ulgą pomyślała, że przynajmniej tu wszystko ma charakter oficjalny.

Cisza trwała tak długo, że Hilary poczuła się nieswojo.

- W zeszłym tygodniu - zaczął w końcu przez zaciśnięte gardło, jakby słowa przychodziły mu z trudem

- Marlenę groziła samobójstwem.

Hilary otworzyła usta ze zdumienia. Wpatrywała się w niego, dostrzegając, jak to czasem bywa w chwili wstrząsu, pospolite szczegóły. Zaskakujące srebrzyste pasma na jego skroniach... Był za młody na siwiznę. Usiłowała sobie przypomnieć, co Marlenę pisała na temat jego wieku. Mógł mieć ze trzydzieści trzy lata...

Zaraz, przecież nie o to chodzi. Powiedział właśnie, że... Z wysiłkiem zamykając zdrętwiałe wargi, usiłowała zebrać rozbiegane myśli.

- Nie, to niemożliwe!

- A jednak - pochylił się ku niej, jego twarz znajdowała się tuż przy jej twarzy - ..tak było.

- Dlaczego? - z trudem wykrztusiła Hilary. Wydawało się, że nie może złapać tchu. Jakżeż to możliwe? Rozmawiała z Marlenę dwa tygodnie temu.

- Kiedy?

- Mniej więcej przed dziesięciu dniami. - Ignorując jej pierwsze pytanie, wsunął się w fotel i przesunął ręką po swych włosach. Był to pierwszy objaw zdenerwowania, jaki dostrzegła w jego zachowaniu. - Nie sądzę, by naprawdę zamierzała to zrobić, ale mimo wszystko...

- Mimo wszystko - podchwyciła Hilary ochryłym głosem - każdą zapowiedź samobójstwa należy traktować serio. To jest - musiała odchrząknąć - wołanie o pomoc. - Wiem o tym najlepiej, pomyślała, zaciskając wargi.

Conner krótko przytaknął.

- Właśnie. Sytuacja jest poważna. Marlenę nosi dziecko mojego brata, panno Fairfax. Jeśli targnie się na swoje życie, wówczas dziecko... - przerwał, a Hilary widziała, jak zaciskają się mięśnie jego szczęki. - Mówiłem już, że nie proszę o opiekę

nad rozhisteryzowaną nastolatką, ponieważ mnie samemu jest to nie na rękę. Ona naprawdę pani potrzebuje.

- Na pewno kogoś potrzebuje - odparła Hilary z niepokojem. - Ale może powinien to być fachowiec, ktoś, kto wie...

- Nie - przerwał jej niecierpliwie Conner. - Ona nie chce żadnych psychoterapeutów. Twierdzi, że tylko rozmowa z panią może ją uspokoić. Marlenę uważa panią za swoją przyjaciółkę. Dlatego tu przyjechałem. Poza tym słyszałem, że ma pani pewne doświadczenie w podobnych sprawach.

Jak się o tym dowiedział? Hilary czuła, że jej policzki znów ogarnia płomień. Spojrzała na niego z gniewem. Co powiedziała mu kuzynka? Nie mogła powiedzieć o wszystkim! Na pewno nie o tym, co było zbyt osobiste.

Ale jego spojrzenie sygnalizowało, że wie. A więc Marlenę powiedziała...

- Marlenę przyjaźni się z pani siostrą, prawda?

- Tak. Bardzo się przyjaźnią. A poza tym są kuzynkami.

Marlenę nie miała zbyt wielu koleżanek, ale zawsze lubiła Terri.

- Czy spędzały razem dużo czasu?

- Tak. - Hilary dobrze pamiętała tamte lata, zanim jeszcze Marlenę uciekła do Północnej Karoliny, co poprzedzało jej związek z Tommym St. George'em. Zawsze niepokoiła się o nią. Ta dziewczyna była taka piękna, tak głodna wrażeń, uczucia, pieniędzy i mężczyzn. Tak świadoma, że dzięki swojej urodzie może to wszystko zdobyć.

A jednocześnie naiwnie i rozczulająco szczerze mówiła o swoich pragnieniach. - W gruncie rzeczy nie miała nikogo innego. Jej matka umarła, a stosunki z ojcem zupełnie się nie układały.

- Czy pani ją lubi?

Hilary zmarszczyła czoło. Do czego on zmierza?

- Oczywiście - powiedziała z naciskiem. - Już mówiłam, że jest dla mnie drugą siostrą.

- Ona też panią lubi. - Założył nogę na nogę tak wysoko, iż kostka jednej opierała się na kolanie drugiej, po czym głęboko wsunął się w fotel. - Czy nigdy nie przyszło pani na myśl, że samobójcza próba pani siostry mogła zasiać podobną myśl w głowie Marlenę.

Hilary niemal się zakrztusiła. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Dopiero po chwili, bardzo wolno, niczym wsiąkająca w tkaninę plama, słowa te dotarły do jej świadomości. Marszcząc czoło, obróciła się niespokojnie. Czy Terri mogła to usłyszeć?

Nie. Młodzież nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Uspokojona, skierowała wzrok na Connera, nie znajdując odpowiedzi. Jak śmie obarczać jej siostrę odpowiedzialnością za problemy Marlenę! W ciągu roku, który minął od próby samobójstwa, Terri wiele przeczekała... Zresztą do dziś nie wyzwoliła się z poczucia winy w związku z tym, co zrobiła. Doprawdy, nie wolno go potęgować.

- To wykluczone! - odparła gwałtownie. W jej głosie brzmiała wściekłość, nie próbowała jej ukryć. - Więc tak pan myśli?

- Nie wiem - mówił spokojnie, opanowanym tonem, który wyzwał w niej irracjonalną agresję. Przecież powinien być zły, przerażony. - Uważam, że to możliwe.

- Dlaczego? - Zwilżyła językiem wargi, mimo iż nie były suche. Chciała w ten sposób rozluźnić zaciśniętą szczękę.

- W gruncie rzeczy wskazują na to drobiazgi - odparł z namysłem. - Marlenę wiele mówi o pani i o Terri. Wydaje mi się, że zazdrości wam bliskich więzów, oddania, z jakim pielęgnowała pani siostrę - westchnął, jakby znudzony całą tą zagmatwaną sytuacją. - Prawdę mówiąc nie byłaby to pierwsza osoba, która za wszelką cenę próbuje zwrócić na siebie uwagę innych.

Nie mogła temu zaprzeczyć. Marlenę na pewno zauważyła, z jaką miłością i troską Hilary traktowała siostrę od czasu tamtego tragicznego wydarzenia. Zauważyła i zazdrościła.

Właśnie w najtrudniejszym dla nich okresie uciekła do Północnej Karoliny. I choć były w częstym kontakcie listowym i telefonicznym, nigdy już nie wróciła na Florydę. Dlatego Hilary nie znała Tommy'ego ani jego brata, Connera.

Być może świadczyło to o tym, że Marlene wzywa pomocy teraz, gdy Terri wyjeżdża na studia. Może oczekiwała, że Hilary będzie miała dla niej więcej czasu, że ofiaruje jej więcej uczucia. Biedna dziewczyna, zawsze poza nawiasem, zawsze spragniona miłości, zawsze chciała się znaleźć w centrum zainteresowania.

- Czy jest pan pewien - spytała z pozorną łagodnością - że to moją uwagę próbuje ona zwrócić?

- Nie rozumiem - spojrzał na nią zachmurzony.

- Może chciałaby zwrócić uwagę pana? Czy w obecnej sytuacji nie jest to bardziej naturalne?

- Nie - powiedział stanowczo. - O moją uwagę nie musi zabiegać. Proszę nie zapominać, że nosi dziecko mojego brata.

- Może oczekuje uwagi nie tylko ze względu na dziecko? Odgrywa pan w jej życiu bardzo ważną rolę. Może nawet przypomina jej pan Tommy'ego...

- To absurd! W niczym nie przypominam brata!

Nie kontrolowany żar w jego głosie obudził jej czujność. Dlaczego tak gwałtownie zareagował na tę niewinną sugestię? Zaczęła żałować, że nie znała Tommy'ego.

- Mimo to wydaje się prawdopodobne, że Marlene liczy na...

- Na nic nie liczy - przerwał jej ostro. - Wie, co o niej sędzę. Wie, że nigdy nie aprobowałem tego małżeństwa.

- Czy uważał pan, że Tommy był za młody? Tommy St. George miał dwadzieścia dwa lata i to wystarczało, by wzbudzić zachwyt osiemnastoletniej Marlene. Niewątpliwie jednak był zbyt młody, by przyjąć na siebie odpowiedzialność za żonę i dziecko. A już na pewno zbyt młody, by umrzeć.

- Zbyt młody, zbyt rozpuszczony, zbyt niedojrzały, zbyt uparty, ze wszech miar zbyt... - powiedział z zaciśniętymi

ustami, z naganą w głosie, patrząc w dal, poza nią, jak gdyby obserwując trudną przeszłość, która dla niego wciąż żyła. - Tak, byłem przeciwny małżeństwu Tommy'ego, ale przede wszystkim przeciwny małżeństwu z Marlenę. Tom-my potrzebował twardej ręki, kogoś, kto narzuciłby mu dyscyplinę, tymczasem ona była taka jak on. A może jeszcze gorsza. - Przeniósł wzrok na Hilary. - To małżeństwo było niedorzecznością. Od początku do końca skazane na przegraną.

Zdziwiła ją nuta nieokiełznanej złości, pojawiająca się w jego głosie. Hilary wcisnęła się głęboko w krzesło, jak gdyby chcąc uniknąć pogardy, palącej niczym płomień. Nagle pojęła, że Marlenę mówiła prawdę. Conner gardził nią i nie próbował nawet tego ukryć. Wypowiedane przez niego słowa zagęszczały atmosferę, panującą w jej małym gabinecie. W tej samej chwili, w której jego wzrok znów na niej spoczął, zrozumiała, że nic na świecie nie zdoła jej powstrzymać przed wyjazdem do Północnej Karoliny.

- Jadę - powiedziała stanowczo, nie zostawiając sobie czasu na zmianę decyzji. - Coś mi się wydaje, że Marlenę potrzebuje przyjaznej duszy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Powrót do Smoczego Potoku w Północnej Karolinie był dla Connera zawsze powrotem do domu. Nawet obecność nadąsanej Marlene nie mogła mu tego obrzydzić. Od chwili, gdy wyjechał z miasta i skierował się w stronę gór, jego nastrój uległ wyraźnej poprawie. Znajomy baldachim dębów, srebrzystych klonów i sosen rozpostarł się opiekuńczo nad jego głową. Był u siebie.

Nigdy nie docierał tam dość szybko. Prowadził bez przerwy przez wiele godzin, tak iż w końcu rozbolewały go plecy. Z radością wjechał na stromy podjazd, który wiódł do domu i ze względów bezpieczeństwa ustawił samochód pod kątem do płaszczyzny wzniesienia.

Smoky Mountains - a właściwie położona w nich miejscowość Smoczy Potok, była najpiękniejszym fragmentem świata. I oto fragment ten, niczym kobierzec rozpościerał się przed drzwiami jego domu. Widok ten zawsze go zachwycał - w każdym świetle, o każdej porze roku. Nie mógł się już doczekać chwili, gdy ta ziemia znów będzie jego własnością. Pragnął siadać tu co wieczór i podziwiać ją, świadom, że ponownie należy do niego.

Wyłączył silnik i osunął się na fotel, opierając głowę na skórzanych poduszkach. Patrzył na góry, jak patrzyłby na film, rozkoszując się nieobecnością ludzi i ponadczasowym pięknem falistych szczytów, które rozpływały się w gęstniejącym mroku.

Ależ był zmęczony! Jechał tu nie zatrzymując się, z obawy o Marlenę, której nie chciał zostawiać samej. Obawa... Słowo to brzmiało w jego uszach obco i nieprzyjemnie. Nie zwykł go używać w odniesieniu do własnej osoby.

To dlatego był taki zmęczony. Lęk, jak się przekonał, może być bardzo wyczerpujący. Zamrugał czując, że zaraz uśnie. I, uśpiony wieczną kołysanką nocnych ptaków i szumu drzew, będzie spać do rana.

Doprawdy nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni odczuwał lęk. Do chwili, gdy jego wuj utracił Smoczy Potok, wpędzając całe Amerykańskie Towarzystwo Wypoczynkowe w poważne kłopoty, życie układało się wedle jakiegoś niewidocznego, lecz niezmiennego scenariusza, który zakładał trwale szczęście i sukcesy.

Zresztą nawet w obliczu zawinionych przez wujka niepowodzeń firmy, Conner odczuwał tylko gniew i determinację, nigdy zaś lęku. Wiedział, że znów postawi przedsiębiorstwo na nogi. W gruncie rzeczy było to podniecające wyzwanie. Czuł się jak ktoś, kto po pierwszej połowie meczu, przy wyniku dwadzieścia jeden do zera na niekorzyść własnej drużyny, schodzi do szatni pewien, że i tak wygra.

Przeciągnął się, próbując zwalczyć ból w krzyżu. Ale ból nie przechodził. Jednakże mógł go opanować. Nie mógł natomiast opanować lęku. Lęku i tych przeklętych nocnych koszmarów... Gdy zakończy negocjacje związane z ponownym kupnem Smoczego Potoku, gdy dziecko brata przyjdzie na świat... chyba wreszcie go opuszczą.

Tak bardzo ufał, że dziecko przywróci wszystko do normy, iż czasem go to przerażało. Był zbyt dojrzały, myślał zbyt praktycznie, by wierzyć, że istnieje cudowny lek na cierpienie. Ponadto myśl o dziecku z istoty rzeczy uzależniała go od Marlenę, od jej samolubnych fochów i humorów.

Powinien był już wejść do domu. Jego gospodyni, Janie, miała wolny dzień, a Marlenę nie znosiła samotności. Liczył na to, że nie wpadła w kolejny płaczliwy nastrój lub też, co nie daj Boże, w zły humor. Potrafiła wtedy nie odzywać się przez całą kolację, ostentacyjnie czytać jakiś kryminał i prychać od czasu do czasu na znak, że żywi wyimaginowaną urazę.

Schwycił aktówkę i głęboko odetchnął. Nieważne już, czy Marlenę będzie płakać, czy czytać kryminały. Miał dobre

wiadomości. Dzięki Bogu, Hilary Fairfax będzie tu nazajutrz rano.

Dotarła jednak dopiero w południe. Odwiozła Terri do Gainesville w sobotę i po wielu uściskach, płaczach i śmiechach zostawiła ją w domu akademickim. Tak trudno było im się rozstać. Hilary wracała do Winter Park głęboko zasmucona.

Być może dobrze się stało, że miała nazajutrz wyjechać do Północnej Karoliny. Nie było czasu na rozpamiętywanie. A gdy wysiadła w Asheville z samolotu i ujrzała góry, wciąż jeszcze zielone, lecz już gdzieś muśnięte barwą złota i cynamonu, przeniknęła ją radość. Przepiękne miejsce! Czyste, chłodne powietrze przynosiło pożądaną odmianę po gęstym upale Florydy.

Czuła się jak na wakacjach. Mały samochód z wesołym warkotem pokonywał wzniesienia, posuwając się wedle dokładnych wskazówek Connera. Pięć kilometrów za niezwykle malowniczym zakrętem zjechała w lewo, w na pół ukrytą prywatną drogę. Stąd pozostawał do domu ponad kilometr. Pięła się w górę niezwykle krętą trasą, klucząc pośród przepięknych starych drzew i granitowych skał, które lśniły i migotały w popołudniowym słońcu. Dobiegał ją szmer wody, który czasem wzbierał niczym perlisty wybuch śmiechu, a czasem całkowicie zanikał. Nagle, przy szczególnie ostrym zakręcie, tuż przed nią wyrosły zdumiewająco wysokie naparstnice, ciężkie od białych kiści.

W końcu pojawił się dom. Nie widziała go aż do ostatniej chwili, tak harmonijnie wtapiał się w otoczenie. Nowoczesny w formie i niewątpliwie bardzo kosztowny, ukryty w lesie, sprawiał wrażenie tajemniczego, czarodziejskiego przybytku.

Gdy w końcu w całości objęła go wzrokiem, zdała sobie sprawę, że jest ogromny. Ściany na każdym z trzech czy nawet czterech pięter zastąpiono taflami szkła, w których drzewa odbijały się tak wyraźnie, jak gdyby dom wchłaniał w siebie niebo i las.

Nade wszystko jednak tchnął on spokojem. Pomyślała, że zachwyciłby Terri. Jej zraniona dusza o wiele łatwiej odzyskałaby tu równowagę.

Głęboko wciągnęła powietrze, starając się wchłonąć panujący wokół spokój. Ogarnęła ją radość, prawdziwa radość, że tu dotarła.

Wtem prysnął cały urok.

Gdzieś w niewidzialnym wnętrzu domu trzasnęły drzwi. Hilary zmrużyła oczy i ujrzała Marlenę, która wybiegła na najniższy z licznych balkonów. Cała jej postać emanowała złością, gdy odwracała się w stronę domu.

- Nienawidzę cię! - wrzeszczała przenikliwym, wysokim głosem, który niósł się w powietrzu jak krzyk dzikiego ptaka. - Nic cię nie obchodzi! Nawet dziecko nic cię nie obchodzi! Tylko ty sam jesteś ważny! Nienawidzę cię, Conner!

Jej głos załamał się, a ona sama przykucnęła na drewnianej podłodze, chwytając balustradę i chowając głowę w ramionach.

- Nienawidzę cię! - łkała. - Nienawidzę!

Hilary wyskoczyła z samochodu i zaczęła przeskakiwać po dwa schody na raz. Dopadła Marlenę i objęła łkającą dziewczynę w tej samej chwili, w której Conner wyszedł na ganek. Obrzuciła go oskarżycielskim wzrokiem.

- Co tu się dzieje?! - wykrzyknęła. Troska o Marlene przesłoniła jej cały świat. - Co pan zrobił?!

Przesunęła dłonią po włosach kuzynki i znów podniosła wzrok na Connera. Czekwała na odpowiedź. Ale Conner milczał. Ich spojrzenia skrzyżowały się - jej wzrok pełen troski i wyrzutu, a jego...

Przyszło jej na myśl dziwne określenie. Tak patrzy człowiek naznaczony nieszczęściem. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który sprawiałby wrażenie tak bardzo osamotnionego.

W końcu udało się osuszyć łzy Marlene... Siedziała teraz z kamienną twarzą na łóżku w swoim pokoju i skubała atłasową

koldrę. Jej jedwabiste blond włosy jakimś cudownym sposobem pozostawały nieskazitelnie uczesane nawet wtedy, gdy zanosiła się szlochem. Teraz starannie wycierała rozmazany tusz do rzęs. Hilary zauważyła z niejakim rozbawieniem, że Marlene było do twarzy z rozpaczą. Westchnąwszy głęboko, oparła się o wezglowie, splatając palce na wzdętym brzuchu. Cięża wydawała się mocno zaawansowana jak na - Hilary próbowała to szybko obliczyć - sześć miesięcy, choć i z tym Marlene wyglądała bardzo ładnie. Jej stan podkreślał delikatność smukłych rąk i zgrabnych nóg.

- To sadysta, Hilary, prawdziwy sadysta. Nie chce dać mi grosza z pieniędzy Tommy'ego, ponieważ lubi się przyglądać, jak ja cierpię.

Hilary, która dotąd siedziała na brzegu łóżka, tuląc i uspokajając Marlene, przeniosła się na fotel w rogu pokoju.

- Dajże spokój! To brzmi nieco melodramatycznie.

Marlenę znów szarpnęła koldrę, tym razem ze złości.

- Wcale nie. Chce, żebym była jego więźniem, żebym o wszystko musiała prosić. O każdy kęs, który zjadam, o każdy strzęp na moim grzbiecie. O wszystko.

Wzrok Hilary przesunął się po dużym, pięknym pokoju najwyraźniej niedawno urządzonego. Błękitna atlasowa pościel, kwieciste zasłony oraz toaletka zastawiona buteleczkami i słoikami drogich kosmetyków, nie kojarzyły się z więzienną celą. A sama Marlenę, w pięknej ciężowej, ciemnobłękitnej sukni, która bez wątpienia uszyta była z czystego jedwabiu, również nie wyglądała na skrzywdzoną sierotę. Ale Hilary wiedziała, że pieniądze to nie wszystko. Czasem za piękne suknie przychodzi płacić posłuszeństwem, upokarzającą zależnością, niszczeniem indywidualnej swobody. Ten sam człowiek, który hojnie rozdaje jedwabie i klejnoty, może równocześnie dopuszczać się okrucieństw. Taki był jej ojciec, który zaspokajał wszelkie materialne pragnienia matki i ani

jednej z potrzeb uczuciowych. Równie dobrze mógłby wręczyć umierającemu z pragnienia na pustyni kartę kredytową.

Marlenę nie czekała na reakcję Hilary. Wsunęła pod plecy haftowane poduszki i dalej wyładowywała swoją wściekłość.

- Nigdy nigdzie ze mną nie wychodzi. Większość czasu spędza poza domem. Wciąż przesiaduje na zebraniach poświęconych nabyciu Smoczego Potoku, rozmawia przez telefon o nabyciu Smoczego Potoku lub, jeśli mam wyjątkowe szczęście, opowiada mi o tym. Co mnie to obchodzi! Jest właścicielem setek miejscowości. Tyle hałasu z powodu jeszcze jednej! Owszem, jest tam ładnie, ale...

Podniosła na Hilary zasmucone błękitne oczy.

- Przysięgam ci, że jestem dla niego wyłącznie hodowlaną kłaczą. Nie dostrzega we mnie człowieka. Nigdy nie zapyta, jak ja się czuję. Interesuje go tylko dziecko. - Jej głos ponownie się załamał. - Gdyby coś się stało dziecku, natychmiast wyrzuci mnie na ulicę...

Hilary przerwała ten potok oskarżeń, który wyraźnie zmierzał do melodramatycznej puenty.

- Nigdy nie dopuścimy, by coś złego stało się dziecku. Poza tym, bez względu na motywy, którymi się kieruje: poczuciem obowiązku, czy też ...

- Sadyzmem - przerwała opryskliwie Marlene.

- Sadyzmem czy czymkolwiek innym jest przecież gotów utrzymywać cię do przyjścia dziecka na świat. To chyba się liczy?

- Może - odparła Marlene bez przekonania. - Ale co potem?

Hilary nie umiała odpowiedzieć. Sama zresztą zadawała już sobie to pytanie. Co potem? Czy Conner sądził, że będą tu żyć we trójkę? Czy też liczył na to, że jako zasobny wujaszek otrzyma prawo do częstych odwiedzin?

- Wcale się nie zdziwię - ciągnęła z goryczą Marlene - jeśli będzie próbował mnie przekupić. Rozumiesz? Kupić ode mnie to dziecko.

Hilary zaszokowana spojrzała na Marlene.

- To śmieszne!

- Tak uważasz? - Marlene popatrzyła na kuzynkę zmrużonymi oczyma. Pomysł ten nie wydawał się jej szokujący. - Zastanawiam się, ile by mi zaoferował? - westchnęła. - Zresztą i tak to są pieniądze Tommy'ego. Nie rozumiem, dlaczego Conner kapie mi po dolarze. I żeby jeszcze był przy tym miły!

- Byłoby dużo przyjemniej - powiedziała Hilary. - Ale pamiętaj, nie możesz go zmienić. Możesz zmienić tylko siebie. Teraz musisz myśleć wyłącznie o dziecku. - Otworzyła pismo leżące obok łóżka i zaczęła wolno je przeglądać, usiłując zademonstrować spokój. - Kiedy rozwiązanie? Co przewiduje lekarz?

Mimo wysiłków Hilary, Marlenę wydawała się coraz bardziej zdenerwowana. Nie odpowiadając na pytanie, zerwała się z łóżka i ruszyła w stronę okna. Stała przed nim z miną więźnia, który wygląda przez kraty swojej celi. Hilary odłożyła pismo i podeszła do okna. Nie zobaczyła jednak niczego, co mogłoby przynębić jej kuzynkę.

Marlenę nie widziała jednak piękna złocistego krajobrazu, który ją otaczał. Stała napięta i milcząca. Hilary pomyślała, że może obawia się macierzyństwa - cierpień porodu, przytłaczającej odpowiedzialności za niemowlę, trwałej utraty beztrioskiej młodości. Zwykła ludzka reakcja wielu młodych matek.

- Czy lekarz nie określił terminu rozwiązania?

- Dziesiątego grudnia - odparła Marlenę, nie obracając się do Hilary. Mówiła przez ściśnięte gardło, jakby trudno było jej wykrztusić te słowa.

A więc tu była odpowiedź na pytania zadawane sobie przez Hilary. W prostej arytmetyce. Tommy St. George i Marlenę byli małżeństwem tylko trzy miesiące. Potem Tommy tragicznie zginął. Od czasu jego śmierci upłynęły kolejne trzy miesiące. Po dodaniu dwu miesięcy, pozostających do dziesiątego grudnia,

okazywało się, że dziecko przyjdzie na świat w osiem miesięcy po ślubie. A więc zostało poczęte, zanim się pobrali.

Nie miałyby to w obecnych czasach większego znaczenia, gdyby, mając za sobą doświadczenia z Terri, Hilary nie wiedziała, że nastolatki potrafią bardzo głęboko przeżywać takie sytuacje. I choć sama odczuła głęboką ulgę, widząc błahość sprawy, nie pozwoliła sobie nawet na najmniejszy uśmiezek. Położyła rękę na ramieniu Marlenę, delikatnie je ściskając.

- Świetnie. A więc pora na zrobienie dużych zakupów dla dziecka.

Ale ramiona Marlenę były nadal sztywne i napięte.

- Nie mogę robić zakupów - powiedziała niechętnym tonem. - Jego wysokość nie dał mi na to ani grosza, przecież ci mówiłam. Pragnie chyba, żebym owinęła jego bratanka czy bratanicę w stare kuchenne ścierki.

Czując pod palcami chłód kosztownej jedwabnej sukni Marlenę, Hilary nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie jest to trafny pogląd. Conner wyraźnie dbał, by jego bratowa nie chodziła obdarta. Być może spodziewał się, że Marlenę będzie mniej wydawać na siebie, a więcej na dziecko. Zważywszy jednak na obecny jej nastrój, trudno byłoby odwoływać się do zdrowego rozsądku.

- Porozmawiam z nim - obiecała Hilary, usiłując nie zdradzić się z tym, że myśl o takiej rozmowie nie budzi w niej entuzjazmu. - Może się wysili na kaftanik czy śpioszki.

Ale gdy w końcu wyszła z pokoju Marlenę, która natychmiast zwinęła się na wielkim, miękkim łożu i zapadła w sen, Connera już nie było.

Hilary ucieszyła się z szansy samodzielnego zwiedzenia domu. Z walizką w ręce wędrowała przez duże, przestronne pokoje, czując się coraz bardziej zaskoczona. Oczekiwała typowo kawalerskiego wnętrza, w którym dominowałyby szkło i chrom. Tymczasem meble wykonane były z drewna, a miękkie głębokie kanapy i fotele wprowadzały ciepłą, domową

atmosferę. Zewsząd wylaniała się bogata zieleń roślin, których obecność na tle olbrzymich okien sprawiała, iż zanikały granice pomiędzy wnętrzem domu a jego otoczeniem. W środkowym pokoju na kominku pogodnie trzaskał ogień - spokojny, syty ogień bezpiecznego domowego zacisza. Hilary niemal uległa gwałtownemu impulsowi, by wyjąć jakąś książkę z wbudowanych w ściany oszklonych szaf bibliotecznych i zatopić się z nią w jednym z wybitych aksamitem foteli.

Najpierw musiała jednak znaleźć swój pokój. Wielopoziomową konstrukcją architektoniczną łączyły kilkustopniowe schodki, toteż pokoje przechodziły jeden w drugi, podobnie jak na zewnątrz balkony. Marlenę poinformowała ją, że jej pokój znajduje się na trzecim piętrze w tylnej części domu. Hilary znalazła go bez trudu. Nie był wprawdzie tak duży, jak ten, który zajmowała Marlenę, ale równie piękny i luksusowo urządzony.

Postawiła walizkę na przygotowanym specjalnie stojaku i ruszyła prosto do przyległej łazienki, pragnąc niezwłocznie zmyć z siebie brud podróży i przebrać się w świeże ubrania. Rzuciła spojrzenie przez okno, które sprawiało wrażenie obrazu, dostrzegła w dole strumień, szemrzący tuż pod jej balkonem i próbowała stłumić narastające w niej poczucie winy.

Jakież to cudowne miejsce! Jaki piękny dom! I ta luksusowa łazienka! Nachyliła się nad marmurową wanną, rozpinając jedną ręką sweterek, a drugą odkręcając kran.

Marlenę nie była w tak złym stanie psychicznym, jak się tego obawiała. Z niechęcią musiała przyznać, że Conner miał rację. Groźby samobójstwa, do których uciekała się jej kuzynka, miały jedno tylko na celu - skłonić Hilary do przyjazdu. No cóż... - pomyślała, wchłaniając woń pianistego płynu do kąpieli, podczas gdy ciepła woda z szumem lała się z kranu - cóż w tym złego? Po prostu spędzę tu przyjemnie kilka tygodni.

Conner wsuwał się do ciemnego domu niemal ukradkiem. Za wszelką cenę pragnął uniknąć kontaktu z Marlenę. Miał za sobą

ciężką noc i bardzo wyczerpującą naradę. Obawiał się więc, że w tym stanie może mu zabraknąć cierpliwości wobec bratowej.

Nalał sobie szklanek czystej whisky, pogrzebał w kominku, by wygasić ostatnie tłące się jeszcze kawałki drewna, po czym ruszył w stronę swojego gabinetu. Było bardzo późno, lecz zbyt wcześnie, by zasnąć. Zwłaszcza teraz, po tym cholernym zebraniu.

Skąd u diabła przeciekła wiadomość, że to on stoi za ofertą nabycia Smoczego Potoku? Przelknął ostatni łyk whisky i sięgnął do barku, by wyjąć z niego karafkę i ponownie napełnić szklanek. Ktoś mi za to zapłaci! Cena wyjściowa wzrosła podwójnie, z chwilą gdy właściciele Smoczego Potoku odkryli, z kim mają do czynienia.

Psiakrew! Marlenę musiała nastawić termostat na pełny regulator. Trudno było oddychać. Rozluźnił krawat, zrzucił płaszcz i otworzył francuskie drzwi balkonowe. Orzeźwił go podmuch chłodnego powietrza. Dotąd nie był świadom, że go potrzebował. Usiłował sobie przypomnieć, ile wypił podczas kolacji po naradzie i nie potrafił. Jak widać, wypił za dużo. Aby odpokutować, wyszedł na balkon. Natychmiast zaatakował go wiatr, wciskając lodowate igiełki pod kołnierz, między guziki marynarki, pod mankiety. Czuł, jak jego skóra napina się i drży.

- Panie St. George?

Początkowo nie wiedział, skąd dochodzi głos. Księżyc przesłaniały chmury, a na balkonach nie zainstalowano elektrycznego oświetlenia. Światło kilku lamp padało na liściaste korony pobliskich drzew, dobywając z mroku nie dzieło człowieka, lecz dzieło natury.

W końcu jednak, pomimo słabego światła, zdołał ją dojrzeć. Hilary Fairfax znajdowała się odległości niecałych trzech metrów od niego, choć stała na balkonie powyżej. Wybierając dla niej pokój gościnny, nie uświadomił sobie, że umieszczają tak blisko zajmowanej przez siebie części domu.

Przechyliła się przez balustradę, a jej długie włosy ześlizgnęły się z ramion w dół, tuż nad nim. Miała na sobie jakąś lekką, miękką szatę, która spowijała ją od szyi aż po kostki i przeguby rąk. Nie potrafił określić koloru, ale było to coś aksamitnego, coś, co niejasno kojarzyło się z epoką elżbietańską.

- Panie St. George?

Przechyliła głowę, a światło padające z pokoju sięgało fragmentów jej twarzy, ukazując blady zarys policzka w miejscu, gdzie ten stykał się z ciemnym cieniem oka. Widział tylko kąt jej ust, lecz te wydały mu się rozmarzone i nabrzmiałe, jakby za sprawą płaczu czy pocałunków...

Przez chwilę, która zdała się wiecznością, stał jak zapatrzonego Romeo, a równoczesną reakcją jego ciała trudno byłoby uznać za niejednoznaczną. Ten nie kontrolowany odruch spowodował jego irytację. Czyżby przestrzegany od pewnego czasu celibat doprowadził go do tego? Czyżby dlatego reagował jak zgłodniały nastolatek, podniecony widokiem każdej kobiety o pociągających ustach i odzianej w nocny strój Julii? A przy tym kobiety, której przecież się nie podobał. Aż zbyt dobrze pamiętał twardy i oskarżycielski wyraz tych miękkich, okrytych cieniem oczu, gdy patrzyły na niego dzisiejszego popołudnia.

„Co pan takiego zrobił?” - spytała, z góry przyjmując, że to on jest winien. Natychmiast uznała go za czarny charakter.

No cóż, trudno. Jeśli ma to uszczęśliwić Marlenę, niech i tak będzie. Pogodzi się z niechęcią Hilary Fairfax.

Ale jego ciało najwyraźniej nie było mu posłuszne, a on sam irytował się tym coraz bardziej. Spojrzał bez uśmiechu w górę.

- Czy nie moglibyśmy mówić sobie po imieniu? Jeśli mamy wspólnie mieszkać, wszystkie te grzecznościowe formułki mogą stać się uciążliwe. - Jego głos zabrzmiał lodowato. Sprawilo mu to satysfakcję. Przynajmniej ona nie odgadnie, jak nedorzeczny rozpałała płomień.

- Dobrze. - Wyprostowała się, a jej twarz znów zniknęła we włosach. - Cieszę się, że jeszcze nie śpisz.

Z trudem powstrzymał śmiech, słysząc to niewinne stwierdzenie. Była dopiero pierwsza. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni położył się tak wcześnie, a tym bardziej nie pamiętał, kiedy tak wcześnie zasnął.

- Doprawdy? - spytał ironicznym tonem. - A to dlaczego?

- Miałam nadzieję, że zdołamy porozmawiać.

Udał, że patrzy na zegarek, choć nie mógł go w ciemnościach dojrzeć.

- Teraz?

Skinęła głową. Dostrzegł jasną linię wśród jedwabistych, miedzianych włosów, która przebiegała tam, gdzie się rozdzielały.

- Tak, bardzo bym chciała. Jeśli możesz. Sądzę, że to najlepszy moment, gdyż Marlenę śpi.

- Dobrze - wzruszył ramionami. - W moim gabinecie? Ponownie skinęła.

- Czy chcesz, żebym przyszedł po ciebie? Potrząsnęła przecząco głową, a jej twarz rozbłysła w świetle, by po chwili zniknąć w mroku.

- Sama trafię - powiedziała i zeszła z balkonu, znikając w drzwiach prowadzących do pokoju.

Z ulgą przyjął odroczenie rozmowy, choćby nawet tak krótkie. Potrzebował czasu, by się opanować. Zapewne to przekłete zimne powietrze drażniące jego skórę sprawiało, iż tak ostro, tak dojmująco odczuwał jej obecność. Wszedł do pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Jeszcze jeden drink. Odretwienie jest takie miłe.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na jego widok Hilary zrobiło się przykro, że nie czekała do rana. Sprawiał wrażenie skrajnie wyczerpanego i niewyobrażalnie rozdrażnionego. Przekrzywiony krawat luźno zwisał na jego szyi, jakby szarpał nim w gniewie. Biała frakowa koszula była pomięta, a rozpięte i podwinięte mankiety ukazywały muskularne ręce pokryte ciemnym meszkiem.

Co gorsza, mimo słabego światła, zdała sobie sprawę, że był po alkoholu. A błysk w jego oczach nie wskazywał na to, by alkohol wprawiał go w dobry humor. Nie, pomyślała, nie jest to najbardziej korzystny moment, by prosić o dziecięce śpioszki.

Ale nie miała odwrotu. Drzwi gabinetu stały otworem. Gdy tam weszła, Conner niemal cały wsunął się za biurko, jakby chcąc zasugerować, że zakłóca mu jakieś ważne sprawy. Mocno w to jednak wątpiła. Błat biurka był pusty. Mogłaby się założyć, że gospodarz zajmował się wyłącznie zawartością karafki, która stała w barku.

Nie wstał nawet, gdy weszła. Wykonał tylko ruch ręką, w której trzymał szklanekę, wskazując, gdzie ma usiąść.

- Domyślam się, że chodzi o Marlenę.

- Tak. - Hilary usiadła przed biurkiem na krześle o prostym oparciu, czując się jak ktoś, kto ubiega się o pożyczkę.

I to zapewne było jego intencją. - Naturalnie.

- Naturalnie - z głębokim westchnieniem poruszył się w fotelu. - Czy zdołałaś z nią porozmawiać?

- Spędziłyśmy razem cały wieczór i oczywiście rozmawiałyśmy.

- To nie jest tak całkiem oczywiste. Marlenę potrafi siedzieć ze mną godzinami w tym samym pokoju i nie odzywać się ani słowem. To mistrzyni znaczącego milczenia. Osiągnęła swoisty rekord, cztery godziny.

Hilary nie umiała znaleźć odpowiedzi. Wierciła się na twardym krześle. Nagle uświadomiła sobie, jak zimno jest w

tym pokoju. Musiał przez dłuższy czas stać na balkonie, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Ukradkiem rozcierała rękę, na które wystąpiła gęsia skórka. Jego ton nie wpłynął na temperaturę rozmowy. Po co jej to mówi? Czy spodziewa się, że zacznie go przeproszać za humory Marlenę? Nie zamierzała tego robić. Nie wiedziała zresztą do tej pory, kto właściwie jest odpowiedzialny za te godziny milczenia.

- To musi być bardzo niewygodne dla was obojga - powiedziała, zajmując postawę bezstronnego obserwatora.

- Wygląda na to, że obydwoje jesteście samotni.

- Niewątpliwie. - Założył nogę na kolano drugiej nogi i wsunął się w głąb skórzanego fotela, który zareagował na przesunięcie ciężaru lekkim skrzypnięciem. - Ale ja zawsze mieszkałem w hotelach - dodał, uśmiechając się tak słabo, że tym razem dołki nie wystąpiły na jego policzki.

- Nawykłem do obcowania z ludźmi, których nie znam, nie lubię i z którymi nawet nie rozmawiam.

Po raz drugi w czasie tej krótkiej rozmowy Hilary nie znalazła odpowiednich słów. No, bo co właściwie miała powiedzieć? Jego ponure stwierdzenie, wygłoszone bez cienia patosu, nie dopuszczało nawet próby grzecznościowego współczucia. Poza tym zapewne należała do kategorii tych, których on „nie zna i nie lubi”. Czyżby chciał ją urazić? Ale w wyrazie twarzy Connera nie znalazła odpowiedzi. Nic dziwnego, że Marlenę nie chciała z nim rozmawiać, pomyślała z irytacją Hilary.

Doszukiwanie się treści między wierszami to mozolne zadanie.

- A więc - szarpnął i rozsupłał węzeł, po czym zsunął krawat, szeleszcząc jedwabnym kołnierzem koszuli. - Jak przebiegła rozmowa? Sądzę, że poświęciła cały wieczór wyliczaniu moich wad.

- No, jeszcze nie wszystkich. - Hilary miała dość błędzenia pośród konwersacyjnych pułapek. Jeśli chce pomóc Marlenę, musi przeciwstawić się Connerowi. Tym razem nie ma on przed sobą niedojrzałą dziesiętnastolatki, którą łatwo pognębić.

Najwyższy czas, by to pojął. - Wyliczała je w porządku alfabetycznym. Dziś wieczór dotarła zaledwie do „D”.

Był wyraźnie zaskoczony. Uniósł brwi i rzucił krawat na biurko, który ułożył się pomiędzy nimi na kształt zwiniętego węża. Patrzył na nią ciekawie, jakby szacując jej możliwości. Siedziała wyprostowana, ale pod jego taksującym spojrzeniem jej buńczuczna pewność słabła, przenikał ją dreszcz. Czyżby posunęła się za daleko?

- D... - zamyślił się, odruchowo miętosząc krawat. - Pomyślmy... Zapewne nie powiedziała „dobrotliwy”...

W jego spokojnym tonie kryły się nutki rozbawienia. Hilary poczuła gwałtowną ulgę. Odchyliła się w tył krzesła i odetchnęła.

- Obawiam się, że nie.

- Doskonały? Potrząsnęła głową.

- Hmm... no cóż, zapewne „dręczyciel”?

- Owszem - Hilary powstrzymała uśmiech. - Od tego zaczęła. Przechylił głowę na bok.

- Despota?

- Takie określenie padło. - Nie mogła oprzeć się myśli, że jego oczy, które zaśniły w świetle lampy, stojącej na biurku, miały teraz barwę przydymionego srebra.

- Domorosły dyktator, dewiant, degenerat.

Po obu stronach jego ust pojawiły się dołki tak głębokie, że mogłaby w nich zmieścić opuszki palców. Zapewne wszystkie kobiety, z którymi się spotykał, znajdowały powód, by dotykać tych dołków. Hilary wcisnęła ręce w kieszenie sukni.

- No nie, nie posuwałabym się tak daleko - powiedziała, uśmiechając się w końcu na myśl o niedorzeczności takich oskarżeń. - Despota, dyktator; owszem, ale na pewno nie dewiant i degenerat.

Oczywiście ten facet, jak wszyscy inni, tylko czeka na komplementy. Dobrze wiedziała, że Marlenę, nawet w przychylnym największej wściekłości, nie mogłaby uznać go za

kogoś, kto budzi obrzydzenie. Żadna kobieta nie mogłaby tego zrobić. W jaki sposób udawało mu się sprawiać wrażenie rozbawionego, skoro wcale się nie uśmiechał? Boże, jaki on jest przystojny! Niepokojąco przystojny. Tak, to najbardziej stosowne określenie - niepokojąco przystojny.

W tym momencie włączyło się ogrzewanie i podmuch gorącego powietrza zdmuchnął końce długich, luźno opuszczonych włosów na jej twarz, łaskocząc nimi usta i brodę. Kilka pasemek zatrzymało się na jej wilgotnych wargach.

Wzrok Connera wolno spoczął na jej ustach i tam się zatrzymał, jakby zastygł na widok delikatnego drżenia kasztanowych loków. Jej palce stały się dziwnie niezdarne, gdy odgarniała włosy z twarzy. Pod wpływem skupionego na niej spojrzenia usta Hilary zaczęły drżeć, poczuła nagle, że w pokoju jest za gorąco.

W obronnym odruchu zacisnęła wargi. To absurdalne. Nie przyszła tutaj, by wymieniać spojrzenia z Connerem St.George'em. Rozmowa zbcoczyła na niewłaściwy tor i czas najwyższy przejść do rzeczy. Za nic w świecie nie życzyłaby sobie, by posądził ją o chęć flirtowania.

- Prawdę mówiąc uważam, że Marlenę czuje się jakby osaczona - powiedziała, ściągając wargi i starając się powstrzymać oblewający ją rumieniec. - Dla kogoś tak ruchliwego jak ona, całkowita zależność od drugiej osoby, bez względu na jej intencje, jest trudna do zniesienia.

- Osaczona? Przez co? - z jego policzków zniknęły dołki, a z twarzy uśmiech. - Czy powinienem raczej spytać: przez kogo?

- Przez życie. - Hilary postanowiła nie reagować na zmianę tonu. Być może i on zaczął się wycofywać, widząc, że rozmowa staje się zbyt poufała. A może po prostu nie lubił krytyki. - Uczucie samotności i zależności sprawia, iż czuje się - szukała właściwego słowa - zdeptana.

Przez moment w zwężonych oczach Connera chłodno zaślniły srebrzyste błyski. Wstał i skierował się w stronę baru. Otworzył karafkę jedną dłonią i wlał whisky do pustej już szklanki.

- Zdeptana? To zapewne ja zostawiłem ślady stóp na jej plecach?

- Oczywiście, że nie - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał rozsądnie i chłodno. Ale poczuła nerwowy skurcz serca widząc, że Conner odchyła głowę w tył i opróżnia kolejną szklankę whisky. Chyba dość już dziś wypił. Jeszcze chwila, a trudno będzie z nim rozmawiać. - Mając nieco więcej niezależności, mogłaby...

- Niezależności? - Okręcił się w fotelu, ściskając szklankę w dłoni tak silnie, iż skóra w zgięciach jego palców aż zbielała. Przez moment pomyślała z lękiem, że kryształ zaraz pęknie. - To tandetny eufemizm. Jestem zawiedziony, Hilary. Czemu nie nazwiesz rzeczy po imieniu? Marlenę nie chce żadnej niezależności. Chce pieniędzy!

Hilary otworzyła usta, by odruchowo zaprzeczyć, ale krótko uciął z trudem składane sylaby.

- Tak, pieniędzy. Tego właśnie pragnie. I tylko tego.

- Nieprawda - powiedziała, w dalszym ciągu starając się zachować chłodny ton.

- Tak twierdzisz? - Postawił szklankę na biurku i sceptycznie uniósł brwi. - Czy nie przysłała cię do mnie z prośbą o pieniądze?

- Owszem, ale...

Przerwała. Conner mruknął coś z niechęcią. Machnął ręką, zagłębił się w fotel i wbił wzrok w szklankę, jakby uznając dyskusję za skończoną.

Ale Hilary nie dawała tak łatwo za wygraną.

- Nie, nikt nie musiał mnie wysłać. Sama chciałam z tobą pomówić...

Nie wiedziała nawet, czy jej słuchał. Wpatrywał się w szklankę tak intensywnie, jakby kryły się tam wszystkie tajemnice świata.

- Conner - zaczęła ponownie spokojnym tonem, choć jej cierpliwość była już na wyczerpaniu. - Ona chce tylko tego, czego pragnie każda przyszła matka. Kupić dziecku ubranka i różne drobiazgi. To przecież taki niezwykły okres w życiu kobiety...

- Bzdura - powiedział ze znużeniem. - Marlene wyszła za Tommy'ego dla pieniędzy. Tymczasem, na jej nieszczęście, łup wymknął się z rąk.

- Łup? - Hilary prawie się zakrztusiła, próbując jednocześnie przełknąć ślinę i odetchnąć. - Tego już za wiele!

- Wściekła zerwała się z krzesła, niemal je przewracając.

- To najpodlejsza obelga, jaką kiedykolwiek słyszałam!

Gdybyś nie był takim pijanym degeneratem, nie odważyłbyś się tego powiedzieć!

Uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech przyjemny.

- A więc jednak jestem degeneratem. - Uniósł brodę i spojrzał na nią przeciągle. Jego twarz, zniekształcona teraz padającym na nią głębokim cieniem, wydawała się obca. - Masz zapewne rację. Gdybym był trzeźwy, pewnie byś tego nie usłyszała. Ale bez względu na to, czy jestem trzeźwy, czy pijany, czy powiedziałbym to, czy nie, prawda pozostanie prawdą.

Głowa opadła mu na oparcie fotela. Zamknął oczy.

- Biedny Tommy. Tak łatwo było go omotać. - Zacisnął mocno powieki, marszcząc skórę na skroniach. Zdawało się, że mówi sam do siebie. - Biedny głuptas...

Hilary była tak wściekła, że wręcz bliska płaczu. Zacisnęła dłonie w pięści i wepchnęła je w kieszenie.

- Dobrze - zwróciła się do tej obcej, okrytej cieniem, niczego nie widzącej twarzy. - Skoro Marlene poślubiła Tommy'ego dla pieniędzy, to gdzie one są? Dlaczego musi teraz żebrać o

wyprawkę dla dziecka? Gdzie to wszystko, co odziedziczyła po swoim mężu, tym „biednym głuptasie”?

Otworzył oczy i przez moment wydawało się jej, że w ich kącikach wzbierają łzy. Widać jednak stało się tak za sprawą światła, gdy odezwał się bowiem, jego głos brzmiał twardo i beznamiętnie.

- Bogu dzięki, nie odziedziczyła nawet centa. Tommy nie miał żadnego majątku. Ojciec zapisał wszystko na mnie, a ja miałem sprawować opiekę nad Tommym. Czy chcesz wiedzieć, dlaczego? - jego głos stał się jeszcze bardziej cierpki. - Bo ojciec wiedział, że świat pełen jest takich osób jak twoja kuzynka. Pięknych, chciwych i na tyle pozbawionych skrupułów, by poślubić mężczyznę dla jego pieniędzy, a potem unieszczęśliwić go na resztę życia.

Równie dobrze mógł był ją uderzyć. Z zamglonymi gniewem oczyma odsunęła się od biurka, patrząc w twarz

Connera tak, jakby trzymał wymierzoną w nią broń. W jej głowie kołatała się tylko jedna spójna myśl - wiedziała, że musi opuścić ten pokój.

Przystanęła jednak przed drzwiami.

- Jeśli tak uważasz - powiedziała, zirytowana drżeniem swojego głosu - to czemu pozwalasz jej tu mieszkać?

- Przecież to oczywiste! Marlenę ma w ręku wszystkie atuty. Wie, że bez względu na to, jak się będzie zachowywać, nie pozwolę zabrać stąd dziecka. Przecież to dziecko, które nosi, jest, być może, i, niestety, tylko być może, wszystkim, co zostało po moim bracie.

- Być może?

Co on sugeruje? Hilary poczuła gwałtowny zawrót głowy i położyła rękę na klamce.

Skinął głową, pocierając rytmicznie palcem oprawkę okularów.

- Może się okazać, że nim nie jest. Może to jedynie dzoker w talii kart. - Jego głos zamarł. Po czym Conner znów odezwał się, jakby sam do siebie. - Musimy czekać, czas pokaże.

Hilary nie dowierzała własnym uszom. Ścisnęła palcami drzwi, ogarnięta nienawiścią do niego, do jego ohydnych insynuacji i znużonego, obojętnego tonu, jakim je wygłaszał. Nieszczęsna Marlenę! Tyle przeszła i teraz zdana jest na tego... tego pozbawionego serca i uczuć...

- Czy próbujesz mnie przekonać, że dziecko Marlenę nie jest dzieckiem twojego brata?

Spojrzał na nią tak, jakby zapomniał na chwilę o jej obecności. Jego powieki opadły. Widać uniesienie ich wiązało się ze zbyt wielkim trudem.

- A ty jesteś tego pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna - odparła, marszcząc brwi. - Marlenę szalała za Tommym. Była jego żoną...

- Zabrakło jej nagle słów. Jak można dowodzić czegoś, co jest zupełnie oczywiste. Jak wyjaśnić, że coś jest niemożliwe, ponieważ jest nie do pomyślenia. - Tak, jestem pewna

- skończyła, odwołując się do swego absolutnego, niepodważalnego przekonania - bo znam Marlenę.

Patrzył na nią długo, tak długo, że w końcu poczuła się nieswojo. W jego błędnym wzroku krył się lęk. Oto nagle miała przed sobą małego chłopca, który w środku nocy zbudził się z koszmarne go snu i rozpaczliwie pragnie pocieszenia.

Była wstrząśnięta. Znała takie spojrzenie aż nazbyt dobrze. W ciągu ostatniego roku twarz Terri z powodu głębokiej depresji często przybierała podobny wyraz. Ale dlaczego ten trzydziestotrzyletni biznesmen miałby przypominać zawiedzioną w miłości dziewczętnastolatkę?

Conner przymknął powieki, ukrywając lęk, który zdradzało każde jego spojrzenie. Zamykał go w granicach swego prywatnego świata. Powiedział tylko:

- Może masz rację. Obyś ją miała.

Gdy nazajutrz rano Hilary zeszła na śniadanie, ze zdumieniem ujrzała Marlenę, która zawsze długo sypiała, przedkładając rozrywki nocy nad mozolny trud dnia. Hilary nie spodziewała się zatem, że ujrzy ją przed południem.

- Czy mnie wzrok nie myli? - szepnęła, nalewając do filiżanki kawę ze srebrnego dzbanka na stoliku. Podeszła do okna i pociągnęła kuzynkę za spięte w koński ogon włosy.

Na ustach Marlenę, pokrytych aksamitną pomadką, dobraną kolorem do sukni, pojawił się szeroki uśmiech.

- Bo widzisz - odparła potulnie - dzisiejszy ranek jest taki piękny!

Hilary mruknęła sceptycznie. Nigdy by nie przypuszczała, że piękno poranka może zachwycić Marlenę. W nocy napływały chmury pędzone silnym wiatrem, który bardzo długo nie pozwalał jej zasnąć. Bez końca, aż do otępienia, odtwarzała w myślach to, co zdarzyło się w gabinecie Connera.

Wreszcie jakoś zasnęła, a gdy się ocknęła, wiatr wyraźnie ucichł. Ale nawet teraz porывał liście, które wirowały szaleńczo, by następnie dosięgnąć okna i przylgnąć do niego niczym płaty czerwonej farby.

- Piękny ranek? Czemuż to przypisać, że wielbicielka słońca polubiła deszczowe dni?

Marlenę uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a jej błękitne oczy rozbłysły.

- Temu! - Wsunęła smukłą dłoń w kieszeń sukni i wyjęła z niej prostokątny, żółty kawałek papieru. - To może rozpogodzić nawet najbardziej ponury dzień.

Hilary odstawiła na stół nietkniętą jeszcze kawę i sięgnęła po papier, którym kuzynka triumfalnie machała jej przed nosem. Najwyraźniej był to czek. A rozjaśnione oczy Marlenę wskazywały na to, że opiewał na okazałą sumę.

- Pokaż!

Hilary chwyciła rękę Marlenę i unieruchomiła trzepocący w niej papier. Na widok figurującej na nim sumy, pod którą

widniał zamaszysty podpis Connera St. George'a, szeroko rozwarła oczy. To bardzo hojny prezent. Więcej niż hojny.

Po tym, co Conner powiedział wczoraj wieczorem, Hilary nigdy by się tego nie spodziewała. Parokrotnie sprawdzała widniejącą na czeku sumę, jakby ta wypisana była jakimś nie znanym jej szyfrem.

- Niech sobie pada - wesoło oświadczyła Marlenę.

- Gdy można szaleć w najlepszych sklepach miasta, deszcz nie ma znaczenia. - Wyrwała czek, wepchnęła go w kieszeń i poklepała po niej z zadowoleniem. - No więc

- ponagliła Hilary - pędzimy na zakupy!

Hilary stała nieruchomo.

- Co on powiedział? - spytała wolno, usiłując doszukać się w tym wszystkim jakiegoś sensu.

Jej kuzynka zatrzymała się w drzwiach, studiując swój makijaż w wiszącym nad stolikiem lustrze.

- Kto?

- Conner. - Przełknęła łyk kawy i spojrzała na Marlenę. - Co powiedział Conner, dając ci ten czek?

Marlenę przeciągnęła palcem po obrysie górnej wargi, poprawiając kontur umalowanych ust.

- Nic. - Małym palcem nadała brwiom nieskazitelny kształt łuków. - Wcale go nie widziałam. Kiedy wstałam, czek leżał na stole w przedpokoju. Tylko czek i kartka z napisem: „na dziecko”.

Dyskusja od dawna stała się bezprzedmiotowa. Conner był już zbyt zmęczony, by brać w niej dalej udział. Wstał z fotela, stojącego przy kominku w bawialni i podszedł do okna, próbując wyłączyć się z zacieklego sporu pomiędzy swoim zastępcą, wiceprezesem firmy, Joe Bradleyem, i jej radcą prawnym, Gilem Lunsfordem, którzy skakali sobie do oczu, najwyraźniej nieświadomi, że Conner przestał ich słuchać.

Obserwował ich odbicia w szybie z dziwną obojętnością. Wyglądali jak dwa koguty, a przecież to najważniejsi ludzie w

całym przedsiębiorstwie. Stłumił ziewnięcie. Czy zawsze byli tak niezdolnie kłótlivi?

Oddając im sprawiedliwość, przyznał, że nie, nie zawsze tak się działo. Zwołał naradę u siebie w domu. Wywołał burzę już swoim wstępnym oświadczeniem. Żądał, by w ciągu godziny opracowali plan wykrycia osoby, która przekazała kontrahentom informację o tym, iż to właśnie on stoi za ofertą kupna Smoczego Potoku, oraz by przedstawili propozycje ratowania transakcji. Początkowo zamilkli, wyraźnie speszeni, by po chwili wybuchnąć gorączkowym jazgotem.

Conner westchnął. Ni stąd, ni zowąd ogarnęła go ciekawość, co robią teraz Hilary i Marlenę. Czy wciąż są na zakupach? O tej porze powinny już wrócić. Może jedzą gdzieś kolację, piją kawę i wybierają dla dziecka imię oraz przyszłą szkołę.

Gdy hałas za nim ucichł, Conner spojrział na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Minęła godzina, a Gil i Joe nie posunęli się o krok. Jęknął i zamknął oczy, które ostatnio nieustannie drażniły go i piekły. Ponadto stale czuł tępy ból w skroniach. Nie mógł dłużej słuchać tej gadaniny. Wielki Boże, wolałby już raczej wybierać imiona dla dziecka.

Ręka, którą bezmyślnie pocierał usta, zamarła. Co takiego? To zapewne brak snu. Nacisnął grzbiet nosa, usiłując złagodzić ból, przywrócić równowagę światu, który wyraźnie się zachwiał. Tak, to na pewno brak snu. Interesy nigdy dotąd nie wydawały mu się czymś tak głupim. Zaczynał zachowywać się jak Tommy.

Tommy... Gwałtowny ból zapiekł niczym cierń, gardło ścisnął nagły spazm. O Tommy, dlaczego nie zdołałem uporządkować twojego życia...

Ocknął się gwałtownie, gdyż w pokoju zapanowała nagle cisza. Otworzył oczy i ujrzał, że Gil i Joe wstają, a na ich zawziętych twarzach pojawia się uśmiech. Właśnie witali Hilary i Marlenę, które wróciły do domu.

Marlenę uśmiechała się z wdziękiem, sprawiając wrażenie dużo bardziej spokojnej i pogodnej niż kiedykolwiek w ciągu wielu ostatnich miesięcy.

- Jakież to cudowne uczucie - wyciągnęła się na krześle i wysunawszy nogi kręciła stopami. - Kupowałyśmy dziś do upadłego, prawda, Hilary? Nie czuję nóg.

Widok Gila, któremu oczy omal nie wyszły z orbit, gdy Marlenę demonstrowała swoje smukłe łydki, sprawił, że Conner po raz pierwszy tego dnia zachichotał. Joe natomiast nie mógł oderwać wzroku od Hilary, która pracowicie układała pudła i torby w kącie pokoju.

Zresztą i Conner na nią patrzył. Na dworze jest chyba mgła, nasunęło mu się bez związku. Długie kasztanowe włosy Hilary były wilgotne. Stwarzając obraz nieświadomie zmysłowy, przylgnęły do jej czoła i policzków, nim opadły na plecy. Miała na sobie sweter tak miękki, że z trudem oparł się pragnieniu, by go dotknąć. Wszystkie kolory - czerwień, zieleń, ochra, pomarańczowy - splatały się na nim we wzór, który, być może, przedstawiał liście lub kwiaty, a może w ogóle nic konkretnego, ale na tle tych barw jej oczy były tak zdumiewająco zielone...

Weź się w garść, pomyślał ze złością. Tymczasem ona, ku wyraźnemu rozczarowaniu Joego, skierowała się tam, gdzie stał Conner.

- To bardzo miło z twojej strony, że ofiarowałaś Marlenę tak pokaźną sumę - powiedziała, kładąc rękę na jego ramieniu. Conner ponownie musiał zapanować nad odruchem swego ciała. - Czy moglibyśmy uznać wczorajszą rozmowę za niebyłą? Zawrzeć rozejm?

Conner nie wiedział, co odpowiedzieć. Hilary wyraźnie uznała, że jego gest wobec Marlenę świadczy o tym, iż w gruncie rzeczy nie wierzył w to, co mówił. Nie miała racji. Wcale nie wyzbył się podejrzeń. Motywy, dla których zdecydował się wypisać czek, były dużo prostsze. Zrobił to, gdyż chciał zobaczyć uśmiech Hilary Fairfax. Uśmiech

przeznaczony tylko dla niego. A teraz, gdy go widział, nie chciał, by przestała się uśmiechać.

- Zgoda - skłamał i położył dłoń na jej dłoni.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Noc była zimna. Zbliżała się trzecia. Dom był pogrążony w ciszy. Hilary zatrzymała się w ciemnym holu, usiłując rozpoznać dziwny dźwięk, który przed chwilą usłyszała. Serce jej biło równo, lecz gwałtownie. Myślała, że jest jedyną osobą, która nie śpi, gdy wtem, znienacka, w ciszy uśpionego domu, dźwięk rozległ się ponownie. Nie rozpoznawała w nim słów, nie przypominał też płaczu, ale był to na pewno głos ludzki. Głos nabrzmiały dziwnym cierpieniem.

Spojrzała na dół, usiłując odzyskać orientację w topografii budynku. W chwilę później zmarszczyła brwi, dochodząc do kłopotliwego wniosku, że stoi zaledwie kilka kroków od apartamentu Connera. Przesunęła wzrokiem wzdłuż ściany i zatrzymała się na środkowych drzwiach, jedynych, które wczorajszego wieczoru były starannie zamknięte. Drzwiach do jego sypialni.

Wtem dobiegł ją jakiś szelest. Hilary wstrzymała oddech. Nasłuchiwała. Po chwili znów się powtórzył. Niczym niewidzialny dym dobywał się spod drzwi sypialni Connera. Ucichł. Dotarł do niej ponownie. Jeszcze raz powrócił. Aż w końcu rozpoznała. Ktoś przewracał się niespokojnie, miętosząc jedwabną pościel.

Bez namysłu ruszyła w stronę drzwi. Może jest chory? Może woła o pomoc? Może mogłaby...

Trzymając rękę na kłamce i wyciągając drugą, by zapukać, nagle oprzytomniała. Zamarła, przerażona swoim pomysłem, sparaliżowana wyobrażeniem męskiego ciała Connera uwięzionego w skłębionej pościeli.

Cóż by pomyślał, gdyby zapukała do jego drzwi o tej porze? Próbowала wyobrazić sobie, jak wstaje, jak podchodzi do drzwi... Szarobłękitne oczy zamglone snem, a on sam ubrany... albo nagi...

Od stóp do głów oblała się zarem. Czowała, jak jej skóra pod welurowym okryciem pokrywa się, jak w saunie, kroplami potu ze zdenerwowania i zażenowania. Musi natychmiast stąd odejść.

- Nie! Zaczekaj! - rozdarł ciszę krzyk Connera.

Z sercem wtłoczonym w gardło Hilary odskoczyła do tyłu. Dygocąc, oparła się o ścianę. Krzyk niósł się echem przez pusty korytarz. Łapała powietrze ustami, wpatrując się w prostokąt drzwi, na wpół oczekując, że się otworzą. Do kogo wołał?

- Klucz... - tym razem przemawiał łagodniej, a zarazem z większą rozpaczą.

Znów rozległy się odgłosy jakiejś dziwnej szarpaniny. Co się tam dzieje?!

- Na miłość boską, klucz!

I znów nastąpił jęk, długi, przeciągły jęk bezradnej rozpacz, który - czowała to - jednocześnie wypływał z jej serca.

- Nie! - bełkotał coraz bardziej niezrozumiale, zapewne wciskając twarz w poduszkę. - Nie, nie, nie!

Hilary zacisnęła powieki. Nikt, a na pewno nikt obcy, nie powinien wiedzieć o tym nieokiełznanym cierpieniu. Tym bardziej że doświadczał go dumny, apodyktyczny Conner, nawykły do samokontroli i gardzący tymi, którym jej brakowało. Gdyby się dowiedział, co usłyszała, pewnie by jej tego nie wybaczył.

- Proszę - teraz błagał, a jej serce znów ścisnął skurcz. - Proszę, nie!

Jakby wywołana przez ból w jego głosie, po jej policzku spłynęła łza. Nie mogła tego znieść. Jeśli zostanie chwilę dłużej, będzie musiała pokonać barierę drzwi, objąć go i tulić tak długo, aż zbudzi się z koszmaru. A wtedy...

Przełknęła ślinę, trzeźwiejąc na samą myśl o tym. Wtedy co? Znów będą obcymi sobie ludźmi. Gdy Conner ocknie się w jej objęciach, poczują się oboje jak para głupców. Znienawidzi ją za to, co widziała.

Nie, nie wolno jej tego zrobić. Musi odejść, nim rozlegnie się następny, przesywający serce krzyk, który sprawi, że zrobi coś, czego będzie później żałować. Szczelnie owinęła się szlafrokiem i uciekła.

Całą noc dręczyły ją sny o drzwiach bez kluczy. Ku swemu zdumieniu obudziła się późno i ujrzała jasne, błękitne niebo.

Pchnęła okno w nadziei, że powiew chłodnego powietrza nieco ją orzeźwi. Wokół trwał jeden z tych czystych, pięknych dni jesieni. Po wczorajszych stalowoszarych chmurach nie było śladu. Las stał przed nią strojny w złoto, purpurę i topazy.

Wciągnęła dzinsy, wsunęła sweterek z golfem i, pomimo monotonnego bólu głowy oraz lęku przed spotkaniem z Connerem, postanowiła zachować optymizm. Drżała na myśl o tym, jak miniona noc wpłynie na jego i tak nie najlepszy nastrój.

Gwałtownie zapragnęła usłyszeć Terri. Tak, zapewne dlatego czuła się tak nieswojo. Tęskniła za domem, brakowało jej siostry. Skierowała się w stronę słonecznej kuchni i opadła na wbudowaną ławkę, przysuwając do siebie aparat telefoniczny.

Niestety. Dziewczyna, która odebrała telefon w domu akademickim, odparła, że Terri wróci późno. Była teraz na wykładach, a wieczorem wybierała się na spotkanie towarzyskie. Podała numer telefonu, pod którym Terri będzie wieczorem. Hilary podziękowała jej i odłożyła słuchawkę.

- O, przepraszam, nie wiedziałem, że rozmawiasz. Za jej plecami do kuchni wszedł Conner.

- Właśnie skończyłam - powiedziała z zakłopotaniem, wskazując odłożoną na widelki słuchawkę. - Nie udało mi się jej złapać.

Conner miał na sobie tylko stalowoszare spodnie dresu, w którym uprawiał jogging. Musiał przed chwilą zdjąć bluzę, gdyż wycierał nią właśnie twarz. Jego włosy zwilgotniały na karku, a cały tors lśnił od potu, jakby właśnie skończył długi bieg.

- Dzwoniłaś do siostry?

Wyjął z lodówki wodę mineralną, zdjął nakrętkę, po czym opróżnił butelkę jednym haustem.

- Tak. - Gdy pił, kropelka potu spłynęła po jego mocno osadzonej szyi, torując sobie drogę wśród ciemnego zarostu na opalanej klatce piersiowej. Dlaczego, zadawała sobie pytanie, wyglądało to tak podniecająco? Przecież, gdy ona się pociła, była po prostu... spocona. - Chciałam spytać, jak się miewa. Niestety, nie będzie jej przez cały dzień; wykłady, seminaria, jakaś zabawa...

Po co to wszystko mówi? Zadał jedynie grzecznościowe pytanie. Nic go to naprawdę nie obchodzi. Ale jakież jest męski z tą odsłoniętą piersią i w spodniach luźnych wprawdzie, lecz uszytych z tkaniny tak miękkiej, iż leżą na nim jak druga skóra. Jego nagi tors pozwalał ocenić szerokość ramion. Gdy wyciągnął rękę, by wrzucić butelkę do pojemnika na szkło, muskuły na jego plecach napięły się i wydłużyły, a spodnie, jakby szyto je na miarę, podkreśliły sprężystość pośladków.

Hilary zamrugała gwałtownie i odwróciła głowę. Była wytracona z równowagi. Co w nią wstąpiło? Nie należała do kobiet, które pasjonują się kształtem męskich pośladków. Ileż z razy łąła Terri i Marlenę za ich bzdurne spostrzeżenia. „Wierzcie mi, dziewczyny, nie to jest naprawdę ważne” - mówiła często. Zresztą naprawdę tak uważała. Piękne, twarde ciała zbyt często chodziły w parze z paskudnym, twardym charakterem.

- Jeśli jest zajęta, to znaczy, że wszystko dobrze się układa - Conner odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej najpiękniejszym ze swych uśmiechów, a na jego policzkach pojawiły się głębokie dołki.

- Tak wygląda...

Musi się natychmiast opanować. Przecież nie po raz pierwszy ogląda nagi tors mężczyzny... Gdzież się podziała obojętność na męskie wdzięki, która stanowiła dumę kobiet z rodu Fairfaxów?

On tymczasem w dalszym ciągu poddawał tę obojętność próbie.

- Czy mogę ci czymś służyć? - spytał.

Gdy przecząco potrząsnęła głową, opadł ze swobodnym wdziękiem na krzesło obok niej. Odchylając się w tył, lekko podciągnął spodnie, by nie opinały jego muskularnych ud, i usadowił się wygodnie z wyciągniętymi nogami i koniuszkami palców wsuniętymi w kieszenie. Ta typowo męska pozycja niepokoiła i podniecała, choć Hilary czuła, że nie jest to celowe. Nie starał się przyspieszyć bicia jej serca, a przecież gnało jak szalone. To właśnie tacy mężczyźni są najbardziej niebezpieczni. Nie próbowali nawet łamać kobietom serc, a przecież druzgotali je bezlitośnie.

Teraz, gdy był tak blisko, wyraźnie czuła zapach jego wilgotnej skóry, cudowną woń tchnącą świeżością i zdrowiem, jak woń deszczu czy zapach strumienia, który płynął pod oknami. Jej płuca domagały się tej woni, a ona głęboko wciągała ją w nozdrza.

Niech to diabli! Odwracając głowę w drugą stronę, gryzmoła coś ołówkiem na skrawku papieru, który leżał przed nią. Co tu się dzieje?

Być może, próbowała przywołać racjonalne argumenty, być może jest na niego szczególnie wyczulona za sprawą ostatniej nocy, kiedy to żadne z nich nie mogło zasnąć, a dzieliły ich tylko drzwi. Jakie to dziwne, że on nawet nie wie, iż tam była. Natomiast ona intensywnie odczuwała jego obecność, głęboko poruszona dręczącym go cierpieniem. Przyjrzała mu się z ukosa. Od jak dawna prześladową go nocne koszmary? Jak często? I, najważniejsze, co je powoduje?

Wiedziała jednak, że wszystkie te pytania na zawsze pozostaną jego sekretem. Nigdy nie śmiałyby o to spytać. Nawet teraz, półnagi i lśniący od potu, sprawiał wrażenie nieprzystępnego autokraty.

Wtem zmroziła ją myśl, że pod tym względem Conner przypomina jej ojca. Obaj mieli w sobie tę naturalną arogancję, która natychmiast udaremniała wszelkie niepożądane wścibstwo. Właśnie dlatego jej matka dopiero po dziesięciu latach odkryła prawdę o romansach ojca...

- Czy nie chciałabyś zaprosić jej na weekend? Hilary z trudem przypominała sobie, o czym mówili.

Ach, tak, o Terri...

- Tutaj?

- No cóż, przecież tu jesteś.

Kącki jego ust uniosły się lekko w uśmiechu tak zaraźliwym, że i ona się uśmiechnęła. Mówił chyba szczerze. A propozycja była bardzo nęcąca.

Ogarnęła ją fala szczęścia. Jak cudownie byłoby zobaczyć Terri! Gdyby mogła spędzić z nią dwa dni, upewniłaby się, czy jej mała siostrzyczka wróciła do siebie na dobre.

- To naprawdę miło, że o tym pomyślałeś - odparła, hamując wylewność. - Ale nie chciałabym nadużywać twojej gościnności. Wiem, że ciężko pracujesz, a dom pełen kobiet...

Potrząsnęła głową, pocierając dłonią kark.

- Może nawet mnie tu nie będzie podczas weekendu. Za dwie godziny wyjeżdżam do Dallas. Nie wiem, kiedy wrócę. Na pewno nie wcześniej niż za tydzień.

Była zaskoczona i, choć nie pojmowała w pełni czemu, nieco rozczarowana. Może dlatego, że wiedziała, co ją czeka - cały ten czas spędzi na pocieszaniu Marlenę, z którą, naturalnie, trudno wytrzymać.

- Dlaczego? Co jest w Dallas?

- W rzeczy samej jadę w okolice Dallas. Mają tam na sprzedaż farmę ze znakomitymi terenami jeździeckimi. Można by ją przekształcić w atrakcyjny ośrodek turystyczny. Oferta jest atrakcyjna, a teren bardzo dochodowy, dużo bardziej niż Smoczy Potok.

Zmarszczyła brwi, zdumiona jego lekkim tonem.

- Czy to znaczy, że rezygnujesz ze Smoczego Potoku? - Nie mogła w to uwierzyć. Wiedziała, że marzy o Smoczym Potoku, marzy wręcz obsesyjnie. Czuła to za każdym razem, gdy tylko wymieniał tę nazwę. Podobnym tonem mówił jej ojciec, gdy bardzo mu na czymś zależało. - Czy naprawdę chcesz kupić tę farmę zamiast Smoczego Potoku?

Uśmiechnął się łobuzersko, unosząc brwi z udawaną niewinnością.

- Nigdy w życiu.

- Ale... - Czyżby brak snu upośledził jej rozum? Nic z tego nie rozumiała.

- Ale właściciele Smoczego Potoku mogą pomyśleć, że zamierzam to zrobić.

- Ach tak... - zdała sobie sprawę ze swojej tępoty. Czyżby niczego się nie nauczyła w ciągu lat, które przeżyła z ojcem? - Interesy, interesy, interesy. Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa... A więc to tylko dla wprowadzenia w błąd... Podróż do Dallas, ta farma...

- No cóż, obejrzą to miejsce - odparł obojętnie. - Ale masz rację, głównie chodzi o wprowadzenie w błąd. Widzisz, w interesach jest jak w tańcu, krok w tył, krok w przód.

- A jeśli nie dadzą się na to nabrać?

- Wtedy spróbuję czegoś innego. - Jego głos zabrzmiał tak ostro, że przez moment ogarnęło ją współczucie dla właścicieli Smoczego Potoku. - To był kamień węgielny naszego przedsiębiorstwa.

- Więc czemuście go sprzedali?

- Nie my. - Jego głos był posepny. Wstał, jak gdyby rozmowa tak dalece wytrącała go z równowagi, że nie mógł usiedzieć. - Zrobił to mój wuj. Gdy zachorował mój ojciec, byłem jeszcze na studiach, niezdolny do prowadzenia przedsiębiorstwa.

Wydawało się więc logiczne, że do czasu, gdy ojciec odzyska zdrowie lub gdy ja ukończę szkoły, firmą kierować będzie wuj.

Zgarnął bluzę treningową i zgniótł ją w kulę.

- Jedyną przeszkodą było to, że mój wuj nie był biznesmenem, był artystą.

- Naprawdę? Tommy też był artystą, prawda?

Gdy tylko Hilary wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że popełniła błąd. Chciała skierować tę niemiłą dla Connera rozmowę na inny temat, ale wzmianka o Tommym pogorszyła jeszcze sytuację.

- Tak. I właśnie dlatego ojciec zapisał wszystko mnie.

Tommy i mój wuj byli do siebie podobni. Żaden z nich nie miał żyłki do interesów. Wuj kierował firmą zaledwie dwa lata, ale doprowadził ją niemal do upadku. Miał wielkie idee, zbyt wiele inwestował, zawierał niekorzystne kontrakty, obciążał kredytem najlepsze nieruchomości, aż w końcu zaczął tonąć w długach. Nim ukończyłem studia, stracił wszystkie większe miejscowości wypoczynkowe, łącznie ze Smoczym Potokiem.

Rzucił koszulę na stół z taką siłą, że ta prześlizgnęła się po blacie i wylądowała na podłodze.

- Katastrofa firmy zabiła mojego ojca.

Hilary potrząsnęła głową, nie polemizując z jego stanowiskiem. Próbowwała jednak załagodzić gniew, który wręcz bił od niego.

- Tak mi przykro - powiedziała, choć nic to nie znaczyło.

Odpowiedział jej piorunującym wzrokiem.

- Nie ma powodów. To już teraz bez znaczenia. Ważne jest tylko to, że za tydzień o tej porze będę miał z powrotem Smoczy Potok.

Śmierć ojca nic dla niego nie znaczyła? Hilary zerwała się z ławki. Ogarnęło ją uczucie obrzydzenia. Nie, nie będzie tego dłużej słuchać. I pomyśleć, że chwilę temu podziwiała urodę tego człowieka. Niech go diabli wezmą!

- Muszę sprawdzić, co robi Marlenę - rzuciła krótko, odkładając ołówek na blat. A w myślach dodała: i muszę uciekać od ciebie, uciekać jak najdalej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na gęstej od pyłu równinie Culpepper w Teksasie temperatura sięgała czterdziestu kilku stopni. Conner nie mógł wytrzymać ani minuty dłużej. Mniej więcej w połowie pobytu uznał, że nie będzie nawet udawać, iż zamierza kupić tę farmę. Pięćset akrów zachwaszczonego klepiska, po którym człapały spocone konie o zapadłych grzbietach, dźwigając opasłych turystów! Miały to kupować?! Nie wzięłyby nawet darmo! Wyjeżdża.

I po raz pierwszy w swoim życiu, zaplanowanym co do minuty, postanowił zrobić to, co chciał. Nic go nie obchodziło, że zapłaci za Smoczy Potok trzy razy więcej, niż jest wart. Był zmęczony podchodami, kluczeniami, intrygami. Zmęczony... po prostu zmęczony wszystkim.

Odrzutowiec przecinał błękitne teksańskie niebo jak rakietę, a mimo to wydawał mu się zbyt wolny. Conner drżał z niecierpliwości. Dręczyło go niejasne uczucie, że się spóźni, choć nie miał pojęcia na co.

Dotarł do domu o drugiej po południu.

- Halo?! - zawołał, stawiając walizkę w holu, lecz odpowiedziało mu tylko przedrzeźniające go echo. - Czy jest tu ktoś?

Nie było odpowiedzi. Wyszły. A więc jednak się spóźnił. Przebiegł przez pusty hol, zaskoczony natężeniem własnego rozczarowania. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo nie lubi, gdy dom jest pusty.

Mając nadzieję, że whisky zrekompensuje mu brak towarzystwa, ruszył w stronę barku. Napełnił szklanekę i wbił wzrok w alkohol, z obrzydzeniem patrząc na jego kolor i wdychając jego zapach. Wtem dobiegł go perlisty, podobny dźwiękom fletu śmiech, który brzmiał słodko jak śpiew drozda. Nie wypuszczając szklanki z dłoni, podszedł do okna i spojrział w dół. Początkowo nie widział nikogo, choć śmiech wciąż

unosił się w powietrzu, tym razem równie rozbawiony, jak tańczące wokół liście.

I wtedy je zobaczył - Hilary i jej siostrę - w konarach wielkiego dębu. Terri jeszcze się wspinała odwrócona tyłem do Connera, Hilary natomiast znalazła sobie wygodną gałąź - oparta o potężny pień, wyciągała przed siebie długie nogi.

Omiał nie wypuścił szklanki. Jakaż ona jest cudowna! Śmiała się z odrzuconą w tył głową i wyglądała tak... zdrowo. Uznał to wprawdzie za głupie określenie, a jednak wiernie odzwierciedlające to, co widział. Rzeczywiście sprawiała wrażenie osoby zdrowej nie tylko fizycznie, lecz i psychicznie. Dotknął ręką okna, jakby dotykając go, mógł zapożyczyć choćby odrobinę tego imponującego zdrowia. Ale okno było zimne, nieustępliwe. Nie, nie dotykał przecież jej skóry.

W tej chwili z leśnego cienia wyłoniła się Marlenę. Niosła pod pachą drobne gałązki o złotych liściach i uśmiechała się tak dziewczęco, że przez moment Conner nie potrafił w niej rozpoznać kapryśnej Lolity, do której zdążył przywyknąć.

Czyżby to była Marlenę? Właściwie nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, jak bardzo jest młoda. Dziewiętnaście lat... Na miłość boską, pomyślał, to niemal dziecko! A jednak, z racji swojej zaawansowanej ciąży, nie mogła wdrapywać się na drzewa, nie mogła bawić się jak jej rówieśnice. Nagle ogarnęło go współczucie dla tej małej dziewczynki z wzdętym brzuchem, która już doświadczyła losu wdowy, a niebawem miała poznać obowiązki macierzyństwa.

Zaczynało w nim kiełkować kłopotliwe poczucie winy. Może nie powinien był jej traktować z taką niechęcią. Owszem, jest niewiarygodnie rozpuszczona, niedojrzała i kłótniwa, żąda zbyt wiele i doprowadza go do furii, a jednak... mógłby być dla niej miłszy.

Przecież i ona straciła Tommy'ego. Być może poczucie winy i udręka po śmierci brata przytłoczyły go tak silnie, że nie dostrzegał ciężaru, który ona dźwigała.

Bez wątpienia... Powinien być dla niej miłszy. I będzie, na pewno będzie.

Hilary wypatrzyła z ukrycia Marlene. Głośno krzyknęła, opuszczając nogi w dół i siadając teraz okrakiem na gałęzi. Jej włosy, równie rdzawe, jak liście nad jej głową, lekko unosiły się na wietrze, połyskując w promieniach słońca, które przedzierały się przez gałęzie. Nachylona do przodu, obejmując konar, znów się roześmiała. Conner poczuł skurcz serca. Pamiętał jeszcze, że kiedyś sam był równie skory do zabaw, pełen werwy i radości życia.

Postawił nietkniętą szklanekę whisky na bufecie i ruszył w stronę frontowych drzwi. Coś ciągnęło go ku tym kobietom z siłą, z jaką magnes przyciąga kawałek bezwolnego metalu.

Ale i tym razem się spóźnił. Zanim zdążył obejść dom, one już wracały. Szły wolnym krokiem, przodem Hilary, za nią, ociągając się, pozostała dwójka. Hilary była ubrana ze swobodną elegancją w zgrabne błękitne dzinsy i popielaty kaszmirowy blezer narzucony na żółty sweterek. Jej rozsypane włosy wieńczyła korona złotych liści, które zebrała Marlene.

- Cześć! - zawołał, a one spojrzały w górę i umilkły zaskoczone.

Zapowiedział, że nie wróci przed upływem tygodnia. Nie spodziewały się go tak szybko. Hilary zerwała z głowy wieniec z miną winowajcy, którego surowy nauczyciel złapał podczas wagarów.

Conner sposepniał. A więc tak go widziała. Myśl ta z niezrozumiałych względów była dla niego przykra. Zapragnął wdrzeć się w jej świadomość i wymazać niepoehlebny obraz. Ale, oczywiście, nie mógł tego zrobić. Ze wszystkich bowiem znanych mu kobiet jedynie Hilary Fairfax sprawowała suwerenną kontrolę nad swymi myślami. Brakowało jedynie napisu: Wstęp wzbroniony.

Tyle, że on, który właśnie zlekceważył wszystkie reguły postępowania w interesach, dziś podobnie lekceważył inne

ostrzeżenia. Objął ją w pasie tak, iż dotykał ramieniem miękkiej wełny blezera, i wyjął wieniec z jej dłoni.

Nim zdążyła zaprotestować, delikatnie umieścił go z powrotem na jej głowie. Kiedy wolno błędzącymi palcami odsuwał z jej twarzy opadające na nią pasma włosów, czuł ich jedwabistą miękkość. Gdy jednak dotknął czoła, Hilary zeszytniała. Ostrzeżenie brzmiało jeszcze wyraźniej: Nie dotykać!

- Nie zdejmuj go - powiedział, ponownie muskając jej policzek, zdumiony swoim uporem. Co w niego dziś wstąpiło? - Bardzo ci w tym ładnie.

Ładnie... Ież nie dopowiedział! Była fragmentem pejzażu, który ich otaczał, myślał z pasją, wbijając ręce w kieszenie, by nad nimi zapanować. Z liśćmi wplątanymi we włosy i plamkami słońca na twarzy stawała się częścią tego lasu, tej jesieni... Czy miała zielone, tak zielone jak późne liście lata, a gdy pod dotykiem jego dłoni oblała się rumieńcem, jej policzki przybrały różową barwę leśnych malin.

I wtedy pojął, co się z nim dzieje. Pragnął jej, boleśnie jej pragnął. Co by zrobiła, myślał, widząc występujący na jej twarzy rumieniec, gdyby samowolnie schwycił ją i uniósł w głąb lasu, tam, gdzie nikt nie mógłby ich odnaleźć. Wpadłaby w furję czy też może poddałaby się przemocy pierwotnego instynktu, zarzucając mu po prostu ręce na szyję i kładąc tę jedwabistą główkę na jego ramieniu? Czy pozwoliłaby na to, by ją złożył na posłaniu z liści i kochał poty, póki...

Wielki Boże! Z desperackim wysiłkiem ściągnął wodze swojej nieokiełznanej fantazji. Czyżby zupełnie oszalał? Porwać ją? Kochać? Przecież nawet próba potrząśnięcia jej dłonią stanowiłaby poważne ryzyko.

Wystarczyło na nią spojrzeć. Podczas gdy on folgował fantazjom bardziej stosownym dla okresu dojrzewania, ona wyraźnie oddalała się od niego. Nie, fizycznie nie cofnęła się nawet o centymetr, ale twarz jej nagle stwardniała, światło w

oczach zgasło, a uśmiech na ustach zbladł. W jednej chwili przemieniła się w statwę, piękną lecz daleką, w posąg, który nic nie czuje, niczego nie wyraża i najwyraźniej nie ma nic do zaoferowania.

Do diabła! Dlaczego? - niemal wykrzyknął. Dlaczego? Dlaczego była taka nieosiągalna, taka nieprzystępna? Czuł się równie zawiedziony jak ktoś, kto sięga po odbicie w wodzie po to tylko, by w chwili, gdy go dotknie, zmarszczyło się i rozplynęło...

Wtem ktoś szarpnął go za rękę.

- Ach, Conner! - Marlenę z wylewną radością przyłgnęła do jego ramienia. - Tak się cieszę, że wróciłeś wcześniej!

Przez moment patrzył na nią osłupiały. Czyżby tu była przez cały czas? Zdumiewające. Zupełnie nie widział pozostałych dwu kobiet. Terri cofnęła się nieśmiało, niemal ukryta za siostrą, Marlenę natomiast, podczas gdy on marzył na jawie, przyłgnęła do jego ręki jak pijawka.

Znakomicie! Z trudem opanował pragnienie, by bezlitośnie ją odepchnąć. Po prostu znakomicie! Cóż za ironia losu, że kobieta, której pragnie, okazuje mu kamienną obojętność, podczas gdy wokół aż roi się od innych, nie chcianych.

W okamgnieniu jednak przypomniał sobie decyzję, którą powziął. Nie, nie będzie się odgrywał na Marlenę. Będzie bardziej cierpliwy, bardziej wyrozumiały, bez względu na to, z jakim trudem mu to przyjdzie. A wiedział, że to niełatwe zadanie.

Zdobył się w końcu na uśmiech.

- Wyjechałem zaledwie na kilka dni - powiedział. - Mam jednak wrażenie, że doskonale się beze mnie bawicie.

Uśmiech skierował do Hilary, sygnalizując w ten sposób, że to jej przypisuje całą zasługę, ale natrafił na kamienną twarz. Nie obchodziło jej wyrażone przez niego uznanie. Nie obchodziło jej to, co o niej myślał.

Nagle ogarnął go gniew. Jakże inna była od tej, którą dostrzegł przez okno. To niesprawiedliwe. Ona jest niesprawiedliwa. Przecież nie wyrządził jej żadnej krzywdy. Gwałtownie zapragnął schwycić ją za ręce i żądać wyjaśnień, a jeśli zajdzie potrzeba potrząsać nią tak długo, aż ogołoci z liści wieniec na jej głowie.

- Och, było wspaniale - potwierdziła radośnie Marlenę. - A dziś po południu jedziemy na Kiermasz Sztuki Regionalnej do Smoczego Potoku. Będzie świetna zabawa. Pojedziesz z nami?

Hilary drgnęła. Było to ledwie zauważalne drżenie, którego by nie dostrzegł, gdyby go nie oczekiwał - instynktowny odruch protestu. Nie chciała spędzić z nim popołudnia.

Szkoda. Nagle, choć nigdy przedtem nie przyszłoby mu do głowy włączenie się po jarmarkach i choć wyznaczył po południu naradę z wiceprezesem firmy, doszedł do wniosku, że za nic w świecie nie zrezygnuje z Kiermaszu w Smoczym Potoku. Może w ciągu tego długiego, chłodnego popołudnia znajdzie okazję, by przełamać kamienny chłód Hilary. A jeśli się nie uda, to jednak chwyci ją za ręce i... i zobaczy, co się stanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tego właśnie się obawiała. Upłynęło zaledwie pół godziny od ich przybycia na kiermasz, a Terri i Marlenę już gdzieś pobiegły, zostawiając ją samą z Connerem. Marlenę towarzyszyła im początkowo, uparcie kokietując obojętnego Connera, w końcu jednak, będąc przecież niemal dzieckiem, uległa pokusie pogoni za cukrową watą i zniknęła z dziewczęcym chichotem.

Szli jakiś czas w milczeniu pod baldachimem pożółkłych klonów. Ktoś grał na cymbałkach natrętnie wpadającą w ucho balladę, którą Hilary gdzieś już słyszała. Może powinna spytać Connera, czy ją zna i w ten sposób przerwać uciążliwą ciszę?

Otwierała już usta, ale jedno spojrzenie na Connera, który wcisnął ręce w kieszenie i skulił ramiona przed wiatrem, sprawiło, że zmieniła zamiar. Jeśli potrzebował czasu, by uporać się ze swymi myślami, nie będzie mu przeszkadzać.

Tak więc szli, mijając setki straganów, z których każdy oferował przepiękne wyroby artystycznego rękodzieła. Miękkie kapy, kołyski o pięknych kształtach, uśmiechnięte lalki i cymbały z drzewa czereśni tłoczyły się na stołach i w padającym na nie świetle sprawiały wrażenie jakichś magicznych rekwizytów. Conner mijał je, patrząc zamglonym wzrokiem i niczego nie dostrzegając. Hilary uśmiechała się przepraszająco do rozczarowanych sprzedawców, mijając ich w pośpiechu, o jakieś pół kroku za nim.

Klonowy baldachim coraz bardziej gęstniał, przybierając barwę niemal purpurową. Hilary zadrzała, ciaśniej otulając się swetrem. Robiło się późno, a słabe popołudniowe słońce nie mogło przedrzeć się przez to rubinowe sklepienie.

- Zimno?

Podniosła wzrok, zdziwiona, że ją zauważył. Kiedyż to odzyskała poczucie rzeczywistości?

- Trochę - przyznała. - Nie sądzisz, że wzmógł się wiatr?

Cóż ja wygaduję! - pomyślała. Stać mnie tylko na banały. Wokół liście odrywały się od gałęzi i wirowały w rześkim powietrzu, by następnie opaść na ścieżkę. Zatrzymywały się na jego ramionach, a i jej ramiona były nimi obsypane.

- Chodź - powiedział i jak gdyby było to rzeczą najbardziej naturalną na świecie, objął ją i przyciągnął do siebie, by ogrzać własnym ciepłem. - Lepiej?

Lekceważąc opór, zaczął wolno rozcierać jej ramię, przesuwając po nim dłonią w górę i w dół. Gęsia skórka, którą pokryło się jej ciało, zniknęła w chwili, gdy poczuła jego ciepły dotyk.

- Tak - odparła. - Dużo lepiej. Dziękuję.

I było tak w istocie. Jej mięśnie rozluźniły się same, wbrew woli, ukojone rytmicznym, niemal hipnotyzującym ruchem, jakim gładził ją po ramieniu. Teraz uważaj! - ostrzegła sama siebie, usiłując zachować sztywną postawę. To nie jest pieszczota. To zwykła grzeczność. Nie mam płaszczka, a więc użycz mi ciepła swoich ramion.

- Czy już nie pora rozejrzeć się za Marlenę i Terri? Miała nadzieję, że to pomoże. A jeśli nawet nic na tym nie zyska, i tak należy przypomnieć mu, a także sobie, że ich intymność ma charakter przejściowy.

Jak się spodziewała, zdjął rękę z jej ramienia, by spojrzeć na zegarek, mogła więc odsunąć się od niego o kilka centymetrów. Zacisnęła zęby, gdy pomiędzy nich wtargnął zimny wiatr. Wytrzymać! Nie drżeć, nie dygotać! - nakazała sobie. Nawet gdybym miała zamarznąć.

- Tak, chyba tak. - Jego głos brzmiał beznamiętnie i trudno było ocenić, czy perspektywa ta jest dla niego miła, czy przygnębiająca. Szybko rozejrzał się wokół. Nie próbował ponownie jej objąć. - Jesteśmy prawie w centrum imprezy. Od pięciu minut czuję zapach obwarzanków z cebulą. Czy ty też?

Przytaknęła, ale nie było to prawdą. Jej świadomość rejestrowała bowiem tylko dotyk jego ręki. Głęboko wciągnęła powietrze w nozdrza. Tak, miał rację.

- Którędy idziemy?

- Tędy - dał nura między dwa stoiska i nagle znaleźli się w samym środku pikniku.

Stało tam z pół tuzina drewnianych stołów, a wokół masa stoisk z wszelkiego rodzaju pożywieniem - pączki, cią-gutki, różne rodzaje pizzy, orzeszki, frytki, hot dogi i, oczywiście, pachnące obwarzanki z cebulą. Nigdzie jednak nie było widać Terri ani Marlenę.

- Co byś powiedziała na gorącą czekoladę? - Conner wziął ją pod ramię i klucząc wśród tłumu, zaczął szukać wolnego stołu. - To cię rozgrzeje.

- Tak, znakomicie - odparła, mimo iż nie znosiła gorącej czekolady. Będzie mogła objąć dłońmi gorący kubek i ogrzać się jego ciepłem.

Podczas gdy Conner zamawiał czekoladę, dosiadła się do stołu zajmowanego przez pięcioosobową rodzinę. Troje dzieci, lepkich aż do obrzydzenia wolno przeżuwało cukierki słodowe. Ale Hilary była zadowolona, gdyż stół stał w słońcu, a ciepłe promienie grzały jej plecy. Odsuwając się od dzieci, które zlizywały różowy cukier z palców, wystawiła twarz do słońca, czując z ulgą, jak rozgrzewa ono jej zdrętwiałe z zimna policzki.

- Przepraszamy! - Hałasując i szeleszcząc pakunkami nadciągnęły Terri i Marlenę. Dziewczęta wywołały takie zamieszanie, że Hilary dopiero po kilku minutach dostrzegła, że obok nich podryguje Gil.

- Cześć, dzieciaki! - powiedziała, obejmując Terri.

- Cześć, Gil! - Uśmiechnął się cieleco, przekładając kilka wypchanych toreb z jednej ręki do drugiej. - Marlenę

- dodała surowym tonem, osładzając jednakże jego surowość krótkim pocałunkiem - co ty zrobiłaś? Czyżbyś wykupiła cały kiermasz?

- Tylko to, co warto było kupić. I to dla dziewczynek.

- Marlenę opadła na ławkę opróżnioną w końcu przez lepką rodzinę amatorów ciągutek. - Nawet nie spojrzaliśmy na noże, narzędzia i podobne rzeczy.

- Oj, dziewczyny, wiedziałam, że nie można zostawiać was samych. Gil, jak dałeś się w to wciągnąć? I czy nie mogłeś w żaden sposób powstrzymać ich szaleństwa?

- westchnęła Hilary.

- W żaden sposób - odparł. Ale promienne spojrzenie, jakim obrzucił Marlenę, mówiło, że nawet nie próbował.

- Wpadliśmy na siebie z godzinę temu. Były tak obładowane, że nająłem się za muła.

- Marlenę chciała powiesić mu pakunki na uszach. Kupiła setki cudownych rzeczy dla dziecka. Zaraz ci je pokażemy - opowiadała Terri.

Marlenę zaczęła szperać pośród pakunków, gotowa zaprezentować swoje łupy, ale Hilary powstrzymała ją, wskazując na ślady ciągutek na stole.

- Nie, nie teraz. Nie chcesz chyba, żeby wszystko lepiło się od cukru.

Ale nie był to jedyny powód powstrzymania kuzynki.

Wyobraziła sobie bowiem, jak musi to wyglądać w oczach Connera. Był już i tak przekonany, że Marlenę zależało wyłącznie na pieniądzech rodziny St. George'ów. Ten nowy przypływ żądzы posiadania mógł tylko utwierdzić go w podejrzeniach.

Hilary znów westchnęła. Bardzo kochała Marlenę, ale o ileż łatwiej byłoby jej bronić, gdyby zdobyła się na odrobinę wstrzeмиęźliwości. Mimo wszystko jednak nie miała teraz ochoty udzielać pouczeń. Wszyscy byli w takich znakomitych humorach, a ponadto nie chciała stawiać w kłopotliwej sytuacji Gila i Terri.

Ścisnęło ją jednak w gardle, gdy ujrzała Connera, który zbliżał się, trzymając w każdej ręce kubek gorącej, parującej czekolady.

- Witam panie, cześć, Gil! - powiedział z miłym uśmiechem, stawiając kubki przed Hilary. Uniósł brwi, gdy ujrzał Gila, ale, o dziwo, zupełnie nie zareagował na widok stosu pakunków. - Nie wiedziałem, że już jesteście, ale zaraz i wam przyniosę czekoladę.

- Gorącą czekoladę? - Terri skrzywiła się i spojrzała zdziwiona na Hilary. - Przecież ty nigdy tego nie pijesz, nie znosisz gorącej czekolady...

- Terri... - zaczęła, próbując jej przerwać. Ale Conner usłyszał.

- Nic nie szkodzi - zapewnił młodszą z sióstr, która sprawiała teraz wrażenie zażenowanej swoją pochopną reakcją. - Ktoś inny może wypić czekoladę, zaraz przyniosę Hilary filiżankę kawy.

- Nam nie chodzi o czekoladę - brnęła dalej Terri, próbując się wytłumaczyć..Była drażniąco nieświadoma wysiłków Hilary, która za wszelką cenę usiłowała ją uciszyć. - Chodzi o to, że sekretarki zawsze nas nią częstowały i teraz nawet jej zapach przypomina nam o nich.

- Jakie sekretarki? - zdziwił się Gil.

Terri roześmiała się swoim radosnym, perlistym śmiechem, który Hilary tak zawsze lubiła. Tym razem jednak, słysząc go poczuła ciarki na skórze. Siostra wyraźnie zamierzała opowiedzieć całą tę żalną historię.

- Sekretarki taty. Były cztery. Wszystkie niewiarygodnie zalotne i głupawe. Po rozwodzie z mamą ojciec ożenił się z czwartą.

Gil otworzył usta.

- I wszystkie dawały wam czekoladę?

- Tak, za każdym razem, kiedy przychodziłyśmy do biura taty. Chciały zyskać naszą sympatię, a przez to zaskarbić sobie jego łaski. Myślały, że przepadamy za tym napojem.

- Dlaczego? - spytał Conner, patrząc prosto na Hilary, i oczekując odpowiedzi od niej, nie od Terri. Wszyscy uważali, że to zabawna historyjka, on jednak wyraźnie widział w niej coś innego, dużo mniej wesołego.

- Bo tata mówił im, że lubimy - odpowiedziała, wysoko podnosząc głowę. Terri nie przeżyła tego tak boleśnie jak ona. Była wtedy jeszcze mała i nie pojmowała sensu zdrady, której dopuszczały się sekretarki. - Prawie nas nie znały i pewnie sądziły, że wszystkie dzieci lubią czekoladę.

Hilary szybko się odwróciła, unikając jego pełnych zrozumienia spojrzeń. Zaciśnęła szczęki i zamrugowała powiekami, by powstrzymać łzy roztkliwienia, które nigdy nie powinny się pojawić.

Nie, nie potrzebowała współczucia. Zwłaszcza jego współczucia. Od tamtej pory minęło wiele lat, a ból, którego wówczas doznała, pozostawił tylko jeden ślad - silne postanowienie, że nigdy nie dopuści, by jakiś mężczyzna zranił ją tak, jak ojciec zranił jej matkę. Żaden, choćby był przystojny, błękitnooki, choćby na twarzy pojawiały mu się dołki, gdy się uśmiechał, nie zawładnie nią na tyle, by złamać jej serce.

Hilary wciąż jednak musiała walczyć ze łzami. Powrót do równowagi przychodził jej z wielkim trudem. Niemal nie słyszała, jakie plany snuje reszta towarzystwa, a gdy do niej dotarły, było już za późno. Okazało się bowiem, że wybierają się na koncert muzyki country, który ma się odbyć o zachodzie słońca.

Nie, nie i jeszcze raz nie. Za nic nie zostanie tu przez cały wieczór, czując na sobie przenikliwy wzrok Connera.

- Niestety, kochani. Ja odpadam - powiedziała stanowczo. - Ale nie chcę psuć wam zabawy. Wróć do domu taksówką.

- Nie ma mowy - przerwał jej Conner. - Ja też nie wchodzę w rachubę. Terri i Marlenę mogą pójść z Gilem, a ty wrócisz ze mną.

Marlenę spojrziała na niego z nadąsaną miną, ale Gil aż się palił, by dotrzymać jej towarzystwa, zrezygnowała więc z nalegań. W ciągu kilku minut Gil oraz jego panie pozbiali wszystkie rzeczy, pożegnali się i oddalili w pośpiechu, by zająć dobre miejsca.

Patrząc, jak odchodzą, Hilary przeklinała swoją pochopną decyzję. Należało zachować czujność. Zawsze należy zachowywać czujność w towarzystwie Connera.

- Idziemy? - wyciągnął do niej rękę.

Spojrziała na niego z sercem ściśniętym obawą i... -musiała wyznać to uczciwie - oczekiwaniem. Cały wieczór spędzony tylko z nim? Nagle zabrakło jej tchu.

A on, niech go diabli, uśmiechał się tak, jakby dobrze wiedział o dręczącej ją rozterce i czerpał z niej satysfakcję. Ale nawet jego złośliwy uśmieszek przyprawiał o zawrót głowy. Serce jej podskakiwało niczym liść miotany wiatrem.

Przed chwilą zastanawiała się nad tym, co sprawia, że cała ta sytuacja przypomina spacer po linie nad ruchomym piachem?

I proszę. Oto właśnie potknęła się i spadła.

- Czy chciałabyś zobaczyć Ogniste Wodospady? Conner zwolnił, dojeżdżając do rozwidlenia drogi i spojrział na nią pytająco.

- Nie jest to największy wodospad w tej okolicy, ale lubię go najbardziej ze wszystkich. On też leży na terytorium Smoczego Potoku - skierował wzrok na zachód, gdzie niebo płonęło czystą barwą cynobru. - Dzisiaj widok będzie olśniewający.

Nie wiedziała, co ma zrobić. Jeśli powie, że chce zobaczyć wodospad, to nieco odsunie chwilę, w której znajdą się sami w jego domu. Z drugiej strony, w domu zawsze jest czymś zajęty - telefony, umowy do podpisu, sprawy związane z prowadzeniem firmy. Może coś ją uratuje?

Sprawiała wrażenie niezdolnej do podjęcia decyzji, on natomiast, ze względu na swe apodyktyczne usposobienie, uznał jej wahanie za zgodę i bez dalszych dyskusji skreślił w prawo, oddalając się od drogi, która prowadziła do domu.

Droga, którą teraz jechali, była węższa, jakby wycięta w zboczu granitowej skały. Z lewej strony, spowita w coraz intensywniejsze kolory zachodu słońca, lśniła wysoka ściana poszarpanych głazów, z prawej natomiast, o centymetry od drzwi samochodu, zbocze niespodziewanie się urywało. Spojrzała w dół i zamarła. Jeden nieostrożny ruch kierownicą, a droga usunie im się spod kół.

Ale Conner okazał się wytrawnym kierowcą. Zachowywał się bardzo swobodnie. Prowadził, trzymając kierownicę jedną tylko ręką i na pozór ignorując niebezpieczeństwo. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że w pełni panuje nad samochodem, który posłusznie podporządkowywał się jego woli.

Za wszelką cenę starała się nie myśleć o przepaści. Sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, po czym lekko zmieniła pozycję, obracając się do nich plecami. Jeśli przestanę widzieć, może nie będę się bać, pomyślała z nadzieją.

Imponująca była również łatwość, z jaką pokonywał górską drogę. Przez chwilę wydawało się jej, że jadą prosto w przepaść, wówczas jednak, z precyzyjnym wyczuciem odległości, Conner wykonał skręt. Przelknęła ślinę, przypominając sobie pierwsze wrażenia z jazdy wagonikiem w diabelskim młynie. Gdy w końcu zatrzymał się u wylotu malej dróżki, odczuła niewyobrażalną ulgę.

- Stąd piechotą jest już bardzo blisko - powiedział, chowając kluczyki do kieszeni. - Oczywiście, jeśli masz ochotę.

Skinęła potakująco, choć widok zarośniętej, stromej ścieżki, wzbudził w niej lekki niepokój.

Podążając za jej wzrokiem, odgadł jej obawy.

- To nie takie groźne, jak się wydaje. - Obrócił się i sięgnął w tył samochodu po skórzaną wiatrówkę dla siebie, jej natomiast rzucił obszerny sweter z grubej wełny.

- To bardziej ci się przyda niż twój blezer - poradził.

- Przy wodospadach jest zimno.

Posłusznie wciągnęła sweter przez głowę i otworzyła drzwi samochodu. Uderzyło ją lodowate powietrze wieczoru. Nie odjechali daleko od gwarne go kiermaszu, a przecież otaczał ich teraz całkiem inny świat. Panowała tu zupełna cisza, którą czasami tylko przerywały gwizdy i trele ptactwa. Gdzieś z niedaleka dobiegał również huk spadającej wody.

Stanęli oboje przed maską samochodu. Przyjrzał się jej z uśmiechem.

- Sweter jest oczywiście na ciebie za duży, ale ujdzie.

- Dotknął ręką jej karku. Wyciągnął długie włosy, które wsunęły się pod spód, laskocząc szyję. Następnie wziął ją za rękę, jedną a potem drugą, i podwinął zwisające rękawy. W końcu spojrział w dół. Sweter sięgał jej aż do kolan.

- Mam nadzieję, że się w to nie zapłaczesz, co?

- Dam sobie radę - powiedziała krótko, pragnąc, by przestał jej dotykać.

Nie zapłacę się w sweter, myślała. Ale jeśli on natychmiast nie przestanie, na pewno nie będę mogła zrobić kroku.

- Świetnie, no to chodźmy! - Wziął ją za rękę i poprowadził ginącą w mroku ścieżką. - Bądź ostrożna, tu bywa ślisko.

Miał rację. Początkowo nie chciała, by prowadził ją jak dziecko, ale od chwili gdy po raz pierwszy straciła grunt pod nogami i niemal ześlizgnęła się w dół, aż do samochodu, gorączkowo uczepliła się jego dłoni. Ścieżka wcale nie była mniej groźna, niż się wydawało - miejscami niemal pionowa, gdzie indziej pokryta mchem śliskim jak lód. Przed odwrotem powstrzymywała ją jedynie duma i coraz silniej wzmagający się odgłos wodospadów. Musiały być już bardzo blisko, choć wciąż ich nie dostrzegą.

Nagle Conner zбочzył ze ścieżki i obejmując ją obu rękoma w pasie, uniósł, a następnie postawił na wąskiej krawędzi.

I oto stali w obliczu Ognistych Wodospadów. Wydała krótki okrzyk, nie mogąc uwierzyć swoim oczom.

Przed nimi pieniała się kaskada ognia. Światło zachodu użyczało swych barw masom wody, które przelewały się przez potężną krawędź skały i spadały co najmniej pięćdziesiąt stóp w dół, nasycone efektownym kolorem złota i purpury. W dole, u podstawy wodospadu, widniał rozległy basen, który kipiał wprawdzie tam, gdzie dosięgały go spadające masy wód, lecz dalej był już tylko tajemniczym spokojem. Przypominał każdą stopionych rubinów.

- Boże, to nieprawdopodobne - wyszeptała, lecz grzmot spadających wód zagłuszył jej głos.

Conner wciąż obejmował ją w pasie chcąc, by mocno stanęła na porośniętej mchem krawędzi, a następnie delikatnie skierował ją w stronę szerokiej, granitowej płyty. Posuwała się małymi, niepewnymi krokami, w obawie przed utratą równowagi, opierając się na nim całym ciężarem, aż w końcu z ulgą opadła na kamienną platformę.

Wsparty plecami o niewielkie wzniesienie, Conner usadowił ją tak, iż zwrócona tyłem, siedziała teraz pomiędzy jego nogami. Gdy opiekuńczo zamknął ją w ramionach, uznała to za obietnicę i gwarancję bezpieczeństwa. Byli teraz blisko, tak oszłamiająco blisko grzmiącej, z hukiem walącej w przepaść kipieli, iż przepełniał ją na zmianę to lęk, to jakieś radosne podniecenie.

Musnął ustami brzeg jej ucha.

- Podoba ci się? - spytał, a każde słowo brzmiało ciepło i przyjaźnie.

Milcząco skinęła głową. Nigdy nie widziała czegoś równie ekscytującego. Każde włókno jej ciała drżało - od głowy, która jakoś sama opadła w tył, na ramię Connera, aż po skulone stopy, które wspierały się o jego uda. Czowała, jak wzmocnił uścisk

obejmujących ją nóg i ponownie skinęła głową, w nadziei, że ją zrozumie.

Conner skrzyżował ręce na piersiach Hilary tak, iż dłońmi obejmował jej ramiona. Przesuwając powoli palcami z góry na dół, od ramienia do łokcia, próbował ją rozgrzać, jak robił to już podczas kiermaszu. Jej serce, które i tak biło w przyspieszonym tempie, z każdą chwilą uderzało szybciej, mocniej, aż w końcu żar ogarnął policzki.

Piżmowy zapach skóry wydzielany przez jego wiatrówkę drażnił jej nozdrza i cudownie pachniała sosną jego flanelowa koszula. Pewnie wiele czasu spędził w lesie, rozmyślała Hilary.

Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze w nozdrza, jak zwierzę, które powonieniem doświadcza świata. Pod tchnącą piżmem skórą wiatrówki, pod flanelą, nasyoną wonią lasu, krył się mężczyzna, bardziej skomplikowany, bardziej prymitywny, bardziej niepokojący...

Aż dziwne, jak fizycznie pasowali do siebie. Jej głowa spoczywała swobodnie w małym wgłębieniu pomiędzy jego ramieniem a mięśniem klatki piersiowej. Zupełnie jak głowa lalki, przylegająca kiedyś do niej samej, przypominała sobie w rozmarzeniu. Owo wzajemne dopasowanie ciał matki i dziecka, mężczyzny i kobiety, czyż to nie jeden z cudów natury?

Jakiś natrętny głos powtarzał jednak, że to cud prymitywny - ten sam bezrozumny rodzaj harmonii osiągają przecież zwierzęta. Czyżby tego właśnie pragnęła? Czysto fizycznego zbliżenia, które jest równie znaczące i równie pełne treści, co układanie łyżek w szufladzie.

Ale głos ten brzmiał słabo, coraz słabiej. Po chwili słyszała już tylko miękki szmer jego oddechu tuż przy swoim uchu i uporczywy grzmot wodospadu. I jeszcze bicie własnego serca, które przemieniało się gwałtownie w jakiś pulsujący skurcz gardła. Czemu to robi? I dlaczego mu na to pozwala? To są pieszczoty kochanków, a oni nie są kochankami.

Podstępna intuicja podpowiadała jej, że byłby cudownym kochankiem. Miał takie dobre ręce. Czowała to od początku, a teraz zauważyła w nim serce, dostrzegła głęboko skrytą namiętność...

Zadrżała, a on przyciągnął ją bliżej. Jakież cudowne odurzenie... Przez cały dzień miała się na bacności, w poczuciu zagrożenia wznosząc wokół siebie warowny mur, tę bowiem umiejętność doskonaliła latami. Za tym murem czowała się bezpieczna.

A jednak, nie wiedzieć jak, zdołał się tam wedrzeć. Nie zauważyła żadnej szczeliny, nie dostrzegła słabości... Teraz nie potrafiła go już usunąć. Nie chciała. To właśnie najbardziej ją przerażało. Znowu zadrżała.

- Zimno?

Milcząc potrząsnęła głową, niechcący ocierając się policzkiem o jego nieogoloną brodę. Pod osłoną mocnego ciała Connera nie odczuwała chłodu, mimo iż lodowaty wodny pył wiał w ich stronę, opadając na twarze i ubrania kropelkami perlistej mgły.

- To dobrze.

Jego ręce przesunęły się na jej ramiona. Zaczął je masować, tak iż wreszcie ogarnęła ją fala przemożnego ciepła, topniała niczym cukier w słońcu. Gdyby nawet próbowała, nie mogłaby podnieść teraz głowy.

A przecież powinna była próbować. Nie natrafiając na opór, jego dotyk zmienił się - zatracił opiekuńczość, stał się dotykiem uwodziciela. W odruchu szczerzej, nie skrywanej zmysłowości Conner zaczął pieścić jej odsłoniętą szyję, muskał uszy chłodnymi palcami.

Jakby ktoś hipnotyzował mnie z oddali, myślała. Przymknęła oczy. Znieruchomiała pod dotykiem jego błędzących palców, które podążały niewidzialnym szlakiem jawnie erotycznych doznań. Wciąż nie protestowała. Jego dłonie z rosnącą pewnością wsunęły się w wycięcie jej swetra, przesunęły

wzdłuż linii obojczyka i zatrzymały w zagłębieniu u nasady szyi, tam gdzie uderzał puls. Gorączkowo przełknęła ślinę, świadoma, że jego chłodne palce to wyczują, tak jak wyczują jej oddech, przyspieszony w oczekiwaniu na to, co nastąpi dalej. Musi go powstrzymać, teraz gdy jeszcze jest do tego zdolna.

Tymczasem ją zaskoczył. Jak gdyby przeczuwając jej opór, wysunął rękę spod swetra i zadość czyniąc przyzwoitości, pieścił ją teraz przez osłonę grubej wełny.

Jednakże z równym powodzeniem mogłaby to być pajęczyna. Czula jego dotyk z niezwykłą dokładnością, rozpoznawała każdy centymetr, który pokonywały jego dłonie, by na koniec odnaleźć delikatne wzniesienie jej gwałtownie nabrzmiałych piersi. Może przez grubą wełnę nie zdoła zorientować się, jak reaguje, myślała gorączkowo.

Ale on zorientował się nieomylnie. Jego palce, nie ociągając się nawet chwilę, osaczyły wrażliwe wierzchołki jej piersi. Wydała chyba jakiś dźwięk, ale zagłuszył go ryk wodospadu. O tak, to były dobre ręce - ręce, które prowadziła intuicja. Początkowo dotykały badawczo. Był to dotyk pełen uwielbienia, który wyrażał ślepy, oniemiały zachwyt, by następnie stać się delikatną pieśczęcią, jakby oczekiwaniem na to, że ona zacznie domagać się czegoś więcej.

Westchnęła. Było to głębokie westchnienie, które potwierdzało całkowitą kapitulację. Rozluźniła się, z wolna prostując nogi, a jej podkulone stopy zsunęły się po gładkiej powierzchni granitu, aż na sam brzeg skały.

Przeczuwając pustkę, gwałtownie otwierającą się czeluść, tam gdzie urywała się bezpieczna granitowa platforma, by przejść w stromizną ścianę, Hilary zareagowała niejasnym lękiem. Nie myśląc, kierowana odruchem, przyłgnęła do jego ramion, jakby w obawie, że całkowicie straci kontrolę nad sytuacją i osunie się w przepaść.

Zdawało się, że czekał na ten znak. Jego ręce stały się bardziej poufałe, posuwały się coraz niżej, odkrywając każdą

wypukłość i każdą wklęsłość. Ogarnęło ją niebezpieczne odurzenie, czuła się omotana niewidzialną siecią ciągnącą ją w dół. Przez chwilę doznała przeszywającego lęku. A potem nastąpił już tylko wymykający się wszelkiej kontroli zamęt. Nagle owładnęły ją doznania, które dotąd były jej obce. Napływały falami, wyładowując się z siłą energii elektrycznej i pogrążając ją tak głęboko, iż z trudem utrzymywała równowagę.

- Hilary.

Czuła na szyi jego gorący oddech. Dotyk jego palców stał się twardszy, bardziej niecierpliwy. Jęknęła. Z krzykiem wygięła się w łuk, wsparta na piersi Connera, usiłując wytrzymać rosnące napięcie. Krew odpłynęła jej do stóp, tak iż w końcu niemal całkowicie zdrętwiała, z wyjątkiem miejsc, których dotykały jego dłonie. Wbiła palce w twarde mięśnie jego ramion i gdy ogień sięgnął jej stóp, głośno krzyknęła.

- Pozwól na to, Hilary - szeptał. - Pozwól, niech się stanie.

Westchnęła. Boże, nie daj mi upaść. Jeśli upadnę, będę zgubiona. Nie, nie pozwolę... Przez chwilę sądziła, że zwycięży. Przez tę ulotną chwilę, gdy balansowała nad przepaścią, wydawało się, że wszystko nieruchomieje. Wodospady zamarły w nieskończonym spadaniu, wiatr ucichł, nawet krew zastygła w jej żyłach.

Wówczas jego dłonie znów zaczęły swoją wędrówkę i już nic, nawet jej rozpaczliwa wola, nie mogło temu zapobiec. Zaczęła spadać.

- Conner! - krzyknęła, gdy i wodospady, i ona, zlały się w jeden dziki, grzmiący, rozedrgany kataklizm doznań. - Nie!

Spadała i spadała, gdzieś, gdzie nie było dna. Był tylko Conner. Jego ramiona. Jego ręce. I jego głos.

- Tak, kochanie - mruczał. - O tak.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wracali do domu w całkowitej ciszy. Płomienie na niebie zgasły, pograżając cały świat, nawet wodospady, w nieprzeniknionych ciemnościach. Conner chciał coś powiedzieć, ale ponieważ Hilary wyraźnie unikała jego wzroku, słowa utknęły mu w gardle. I choć ich zbliżenie nie zdołało osiągnąć pełni - miejsce było zbyt niebezpieczne, zbyt łatwo dostępne - wiedział jednak, że posunął się za daleko. Była wściekła.

Cóż za głupiec ze mnie! - myślał. To moja wina. Zachowałem się jak smarkacz! Nigdy nie reagował z gwałtownością nieokrzesej małpy, jednakże, dotykając jej ciała, poczuł, że jest bliski szaleństwa.

Szaleństwo. To było właściwe słowo. Gdyby zachował odrobinę zdrowego rozsądku, wiedziałby, że popełnia błąd. To wyraźnie nowe, wstrząsające dla niej doznanie. Nie znał jej dotychczasowych doświadczeń, ale zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli miała kochanka, był to zły kochanek.

I na tym polegała cała katastrofa. Mężczyźni, jakich napotkała w swym życiu, musieli być straszliwymi egoistami. Mocno ścisnął kierownicę, przypominając sobie z przenikliwą jasnością, jak zaskakująco spontanicznie reagowała nawet wówczas, gdy stawiała opór. Przeraziła ją ta błyskawiczna i całkowita utrata kontroli. Nie była na to przygotowana. Nie dość mu ufała. A ponadto - zdołał to jakoś odgadnąć - nie dość ufała sobie.

Wielki Boże, dlaczego nie zaczekałem!

Gdyby rzeczywiście się złączyli, wszystko wyglądałoby inaczej. Wzajemne oddanie dałoby jej poczucie bezpieczeństwa, które nie zmusza do hamowania reakcji. Przekonałaby się wtedy, że jest równie wrażliwy jak ona. Nauczyłaby się, że w akcie miłości każdy z kochanków doświadcza przewagi i każdy doznaje lęku. Tymczasem jednak zostawił ją w poczuciu

wstydu, ze świadomością, że się nią posłużył. Wpatrywała się w okno, coraz bardziej odległa od tego mężczyzny.

- Hilary... - zaczął, nie wiedząc, co powie, lecz zdając sobie sprawę, że nie może pozwolić jej wysiąść i bez słowa uciec do domu.

Czy ma powiedzieć, że mu przykro? Ale przecież nie było mu przykro, w każdym razie nie z tych powodów, jakie ją by zadowolily. Nie, nie było mu przykro dlatego, że zaczęli grę miłosną. Było mu przykro, gdyż zaczął ją niezręcznie.

- Hilary, spójrz na mnie.

Może teraz, w jasnym świetle lamp, ujrzy w jego oczach prawdę. Może zrozumie, że to, co wydarzyło się na skale, było aktem oddania, a nie zawłaszczenia.

Nawet na niego nie spojrziała.

- Jestem zmęczona - powiedziała w stronę okna, nasuwając na siebie blezer. - Muszę się przespąć.

- Nie - powiedział, próbując schwycić jej rękę.

Była szybsza. Zdażyła wcześniej otworzyć drzwi samochodu, tak iż zdołał jedynie musnąć blezer, jego dłoń ugrzęzła w pustce.

Wstępowała właśnie na stopnie schodów, prowadzących do frontowych drzwi, gdy te gwałtownie się otworzyły. Stała w nich Terri z zakrytą rękami twarzą. Na tle świateł widać było tylko jej sylwetkę. Dopiero po chwili Hilary zorientowała się, że siostra płacze.

- Bogu dzięki - łkała, dławiąc się słowami. - Bogu dzięki, że jesteś. - Wyciągnęła ręce, szukając ratunku u starszej siostry.

- Co się stało?! - Hilary susami pokonała kilka pozostałych stopni, nie zauważając, że blezer zsunął się z jej ramion i upadł na schody. W jej głosie brzmiało z trudem ukrywane przerażenie. - Co się stało, kochanie?

- Marlenę... - Terri łkała, kurczowo łapiąc ręce Hilary i kierując w stronę Connera pełne wyrzutu spojrzenie. - Musicie jechać do szpitala. Gil ją tam zawiózł. Ona krwawi.

Hilary okręciła się wokół własnej osi, a jej blada twarz zupełnie zbieleła.

- Conner - powiedziała załamującym się głosem - Marlenę...

- Słyszałem. - Lęk i ból, doznania unicestwiającej racjonalność zachowań, przeszły go niczym zatrute strzały. Chwycił poręcz schodów i głęboko zaczerpnął powietrza. Na ułamek sekundy zamknął oczy. Stłumił w sobie uczucia, angażując w to wszelkie sposoby obronne, które opanował tak dawno, że nie pamiętał nawet, gdzie i kiedy. Następnie otworzył oczy i, niczym robot wykonujący określone ruchy, zwrócił się do Terri. - Kiedy wyjechali?

- Nie jestem pewna. Wydaje się, że upłynęła wieczność. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteście. Kazali mi tu czekać, żeby was powiadomić - przetarła oczy, tak jakby łyzy przesłaniały obraz w jej pamięci. - To było tuż przed zapadnięciem zmroku. Chyba z godzinę temu - zmarszczyła czoło. - Nie jestem pewna.

- W porządku, to wystarczy - powiedział szybko Conner, po czym przeskakując po dwa stopnie zawrócił do samochodu. - Zaczekajcie w domu! - krzyknął do dwu kobiet, które nieruchomo stały na werandzie przed wejściem. - Zatelefonuję, jak się czegoś dowiem.

- Conner! - Hilary, zelektryzowana nagle rykiem silnika włączonego na pełne obroty, pociągnęła za sobą Terri, ruszając po schodach w dół. - Jedziemy z tobą.

- Nie! - krzyknął bez zastanowienia.

Nie wiedział, jak długo zdoła utrzymać spokój robota. Bezsenne noce, walka z koszmarnymi wizjami, które go prześladowały, nadszarpane jego siły. Jeśli dziecko Tommy'ego... - nie chciał o tym nawet myśleć - jeśli stanie się coś złego... Czy potrafi opanować ból? Nie, jeśli czekają go złe wiadomości, woli usłyszeć je sam.

- Jedziemy z tobą - ton głosu Hilary nie uwzględniał żadnych protestów. - Przecież należymy do rodziny.

Rodzina! O ironio, dopiero teraz, gdy nie miał żadnej rodziny, potrafił w pełni docenić znaczenie tego słowa. W jednej chwili zrozumiał, że nie miał racji. Nie miał prawa wyłączać z tej sprawy Hilary po to, by chronić siebie.

- Wsiadajcie! - rzucił szorstko.

Przechylił się, by otworzyć jej drzwi. Ale ona nie czekała na jego pozwolenie. Zdołała już wepchnąć Terri na tylne siedzenie, a sama właśnie zamierzała wskoczyć na fotel z przodu. Gdy ruszał z piskiem opon, wyciągnęła ponad oparciem fotela lewą rękę do tyłu, ujmując dłoń siostry.

- Wszystko będzie dobrze - mówiła, ale odpowiedział jej tylko cichy szloch Terri.

Conner wpatrywał się w drogę, skoncentrowany na pokonywaniu ostrych zakrętów z największą szybkością, jaką mógł rozwinąć, nie narażając zarazem niczyjego bezpieczeństwa. Kątem oka widział jednak Hilary.

- Nie martw się - jej głos brzmiał miękko, kojąco, jak zawsze wtedy, gdy zwracała się do Terri.

Usiłował nie słuchać - ten głos rozdzierał bowiem przybraną przez niego maskę, a maski tej potrzebował. Pozwoliła mu przetrwać wszystkie krytyczne sytuacje w życiu, pozorować brak zaangażowania, zapewniła uznanie ojca.

Ale ojciec odszedł. Odszedł również Tommy, który nosił serce na dłoni i nie chciał zdobywać uznania, stając się bezdusznym robotem. A teraz dziecko Tommy'ego...

- Wszystko będzie dobrze, jestem tego pewna.

Głos Hilary otulał go niczym ciepły miękki koc, chroniąc przed lękiem. Tym razem jednak nie przeznaczała go dla swojej małej siostrzyczki. Nie patrzyła na Terri. Patrzyła na niego.

Wierząc się niespokojnie na brzegu krzesła, Hilary wpatrywała się z nienawiścią w beżowe ściany szpitalnej poczekalni. Z równą nienawiścią lustrowała wygodne fotele, przeznaczone dla tych, którzy w przerażeniu i rozpaczycy mieli tu czekać w nieskończoność. Nienawidziła szczelnie zamkniętych

podwójnych drzwi. Nienawidziła lekarza, który mimo upływającego czasu nie chciał się w nich pojawić. Wstała i podeszła do okna, wychodzącego na płaski dach. Nienawidziła szpitali.

Czekali już od godziny. Powiedziano im, że lekarz, który opiekuje się Marlenę, wyjdzie lada moment. Gil irytował się i wnosił pretensje do pielęgniarek, aż w końcu Conner wysłał go na kawę. Terri z zaczerwienionymi oczami, głową przechyloną na ramię i zmiętoszoną chusteczką w dłoni, skuliła się w jednym z przepastnych foteli.

A Conner... ? Stał w kącie poczekalni, oparty ramieniem o ścianę, wodząc pustym spojrzeniem po jasno oświetlonym korytarzu. Wydawało się, że jest... nieobecny.

- Pan St. George? - Jakimś cudem podwójne drzwi otworzyły się wreszcie i ukazał się w nich młody mężczyzna w białym fartuchu. Lekarz! Hilary i Terri zerwały się, by stanąć obok Connera. - Doktor Schaffman - przedstawił się.

Miał sympatyczne, ciemnobrązowe oczy, ale był taki młody! Uśmiechnął się do obu sióstr, po czym spojrzął na Connera.

- Pani St. George czuje się dobrze. Nie ma żadnego zagrożenia dla dziecka.

Terri cichutko chlipnęła, a Hilary, przepelniona głęboką ulgą, objęła ją ramieniem. Wyraz twarzy Connera nie uległ najmniejszej zmianie. Jeśli nawet odczuwał ulgę, to niczym jej nie okazał. Ale jego twarz również i poprzednio nie uzewnętrzniała zdenerwowania. Wszystko było ukryte, głęboko ukryte.

- A krwotok? - spytał równym, opanowanym głosem.

- Krwawienie nie było silne i całkowicie ustąpiło - lekarz uśmiechnął się uspokajająco. - To częsty objaw w późnej fazie ciąży, ale bardzo ją przestraszył. Jest co najmniej w siódmym miesiącu, a więc gdyby nawet nastąpił poród, rzecz zapewne skończyłaby się pomyślnie. Ale, naturalnie, staramy się temu przeciwdziałać. Wezwaliśmy doktora Pritcharda, lekarza, który

do tej pory ją prowadził. Właśnie przyjechał. Chwilę jeszcze potrwa, nim zdecydujemy, czy zatrzymać ją na oddziale.

- Zatrzymać? - wykrztusiła Hilary. - Przecież pan powiedział, że wszystko jest w porządku?

Doktor Schaffman łagodnie dotknął jej ramienia. Był młody, ale umiał uspokajać dopytujących się o zdrowie chorego.

- Bo tak jest. Ale pacjentka musi teraz leżeć i wypoczywać. Musi unikać nawet najmniejszego wysiłku. Doktor Pritchard może uznać, że wymaga stałego nadzoru lekarskiego.

- Gdzie ona jest? - Hilary spodziewała się, że Conner zada to pytanie, ale widocznie nie miał takiego zamiaru. - Czy można ją zobaczyć?

- Dopiero, gdy doktor Pritchard zakończy badanie. Robi się późno, w gruncie rzeczy radziłbym wrócić do domu i odpocząć. Zapewniam, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Ku rozpaczy Hilary Conner skinął głową, jak gdyby uznał tę myśl za rozsądną.

- Tak, wracajcie z Gilem do domu. Ja tu poczekam.

- Nie - powiedziała stanowczo. - My też poczekamy.

- To naprawdę nie jest konieczne - wtrącił się lekarz, patrząc z uśmiechem na Terri. - A ta młoda dama jest zupełnie wyczerpana.

Speszona Terri próbowała zebrać siły.

- Nic mi nie jest - zapewniała z uśmiechem, który nikogo nie zdołał przekonać. Miała błędny wzrok i ziemistą cerę.

Mimo troski o siostrę, Hilary nie potrafiła zmusić się do wyjścia. I nie chodziło tu o Marlenę. Wiedziała, że Conner otoczy ją opieką, a zapewnienia doktora Schaffmana brzmiały naprawdę przekonująco.

Nie, chodziło o coś innego, o coś, co dotyczyło osoby samego Connera. Przyglądała mu się niepewnie. Jego niewzruszony spokój sprawiał anormalne wrażenie. Być może, gdyby nie wiedziała, jak wiele to dziecko dla niego znaczy, mogłaby

uwierzyć w ten obraz człowieka ze stali, ale przecież wiedziała...

Cóż jednak mogła powiedzieć? „Nie wyjdę, bo niepokoję się o Connera?” Przecież stał przed nią teraz niczym uosobienie spokoju. Wiedziała, że tylko się ośmieszysz. Chciała krzyknąć: Przecież to pozór! Spójrzcie mu w oczy! Gdzie ich błękit? A usta? To nie jego usta, pełne, wrażliwe, ciepłe...

- A więc dobrze - lekarz uznał widać sprawę za rozstrzygniętą. - Pan zechce teraz złożyć podpisy na czekających w recepcji formularzach. A ponadto musimy omówić jeszcze kilka spraw.

Po niespełna godzinie Hilary klęczała przed kominkiem w domu Connera, układając na ruszcie grube, pachnące polana. Terri drzemała obok na sofie. Odmówiła pójścia do łóżka, nim zobaczy Marlenę, toteż Hilary skłoniła ją do ułożenia się tutaj, gdzie mogła czekać na telefon lub powrót kuzynki.

Ku swemu zdziwieniu Hilary wcale nie czuła się zmęczona. Rozpierała ją jakaś gorączkowa energia, którą wyładowywała krzątając się po domu, przynosząc poduszki i koce dla Terri, przygotowując pokój dla Marlenę, parząc herbatę z cynamonem i na koniec rozpalając ogień na kominku.

Gdy po jakimś czasie niecierpliwe języki ognia objęły wreszcie przygotowane drewno, Hilary usadowiła się na podłodze, oparta łokciem o sofę tuż obok stóp Terri, podtrzymując głowę dłonią. Ciepło ognia rozchodziło się falami, pieszcząc jej twarz. W końcu chłód ustąpił. Ogarnęło ją rozkoszne odprężenie, jej oczy same się zamknęły, a tańczące cienie ognia, które widziała nawet pod zamkniętymi powiekami, zdały się częścią snu.

W sen wdarł się przenikliwy dźwięk dzwonka. Telefon. Terri uniosła się do pozycji półsiedzącej, miała nieco błędny wzrok, ale mrugała energicznie, by oprzytomnieć, gdy Hilary dopadła telefonu,

- Halo!

- Cześć! - To był Conner. Hilary opadła na poręcz sofy i mocno ścisnęła słuchawkę. - Chciałem tylko powiedzieć, że wracamy do domu. Doktor Pritchard orzekł, że wszystko jest w porządku.

- Tak - powiedziała bez sensu. - Tak, to dobrze. Cieszę się.

- Co słysząc w domu?

- Wszystko dobrze - odparła. - Przygotowałam pokój Marlenę, zaparzyłam herbatę, rozpałam w kominku.

Boże, myślała, co ja wygaduję! Zupełnie jak dziecko, które wypełniło swoje obowiązki i oczekuje, by pogłaskać je po główce! Ale tak się cieszyła, że on wraca do domu, tak się cieszyła. Co za ironia! Zaledwie kilka godzin temu rozpaczliwie próbowała od niego uciec, a teraz nie może doczekać się jego powrotu.

- Dziękuję - odparł uprzejmie. - Wkrótce będziemy.

Powiedzieli do widzenia jak dwoje przyjaciół do siebie

usposobionych, lecz obcych sobie ludzi, i Hilary, z uczuciem dziwnej pustki, zaczęła uspokajać Terri, która gryzła z niepokojem wargi.

- Wracają - powiedziała, ale w jej głosie brzmiał jakiś gorzki ton. Próbowała nad nim zapanować, nadać mu bardziej pogodne brzmienie. - Marlenę na pewno czuje się dobrze, skoro doktor Pritchard orzekł, że może wrócić do domu.

Terri z ulgą opadła na sofę.

- Dzięki Bogu - westchnęła ciężko. Wiadomość ta najwyraźniej nie przyniosła jej większej ulgi. W końcu odezwała się, nie odrywając wzroku od ognia. - Właśnie zastanawiałam się ... - podwinęła pod siebie stopy i przełknęła łyk herbaty. - Dlaczego doktor Schaffman prosił Connera o podpisy pod wszystkimi szpitalnymi dokumentami Marlenę?

Nuta niepokoju w jej głosie zwróciła uwagę Hilary, która spojrzała na nią ze zdziwieniem. Skądże to zmartwienie?

- Nie wiem - odparła bez przekonania. Mam wyobraźnię katastrofisty, pomyślała. Wszędzie dopatruję się problemów.

Powróciła myślami do Connera i Marlenę. O czym mogą rozmawiać, siedząc obok siebie i jadąc do domu? Nie tak dawno wracała z nim w żalonym milczeniu. - Zapewne chodzi o ubezpieczenie, rachunki i tak da-lej...

- Tak, ale czemu Conner? Czy to on płaci za jej lekarza?

Terri w końcu spojrzała na siostrę. Tym razem napięcie w jej głosie nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Hilary nie uległa złudzeniu.

- Oczywiście. - Hilary uniosła brwi, zdumiona, że ta sprawa może wywołać jakieś emocje. - A kto ma płacić? Czy nie pamiętasz wszystkich tych listów od Marlenę, w których skarżyła się na brak pieniędzy i na skąpstwo szwagra?

- Tak, ale... no cóż, myślałam, że przesadza. Wiesz, jaka ona jest... - Terri przerwała, przygryzając doba wargę. - Sądziłam, że ma jakieś pieniądze.

- Nie przypuszczam. Myślę, że wszystkim zajmuje się Conner.

Terri wpatrywała się w podłogę ze zmarszczonymi brwiami i napiętą twarzą.

- Jeśli ktoś inny, nie chory, płaci za leczenie - mówiła wolno, ostrożnie dobierając słowa - czy to znaczy, że lekarz informuje go o wszystkim, co dotyczy pacjenta?

Hilary zmarszczyła brwi. Pytanie wydawało jej się dziwne, ale ton Terri wskazywał, że sprawa jest bardzo ważna.

- Co to znaczy „wszystko”?

- No wiesz... - Terri z nieszczęśliwą miną skubała brzeg koca - lekarze są jak księża, czy coś w tym rodzaju, prawda? Nie powinni ujawniać tego, co mówi im pacjent. Ale jeśli ktoś inny płaci za leczenie, czy to znaczy, że ma prawo dowiedzieć się wszystkiego?

- O co tu chodzi, Terri? - surowo zapytała Hilary, odstawiając filiżankę na brzeg stołu i przysuwając się do siostry, by lepiej widzieć jej twarz. - O czym ty mówisz? Co ci Marlenę powiedziała?

- Nie, nic takiego - gorączkowo zaprzeczyła Terri, ale jej twarz zbladła, a oczy unikały spojrzenia Hilary.

- A więc o co chodzi z tą tajemnicą lekarską i sekretami konfesjonału? - Wyciągnęła rękę i mocno schwyciła Terri za ramię. - Terri, jeśli z Marlenę coś jest nie w porządku, Conner musi o tym wiedzieć.

Terri nie odpowiedziała.

- O mój Boże! - jęknęła Hilary, zaciskając dłonie. - Czy chodzi o dziecko?

- Nie, nic takiego. Dziecko będzie zdrowe i Marlenę też. Tylko, że ona coś mi powiedziała. - Terri usiłowała wyzwolić ramię z bolesnego uścisku ręki Hilary. - Puść mnie. Nie mogę powiedzieć ci tego, co powiedziała mi Marlenę. Zresztą sądzę, że zmyślała. To nieważne i... oj, boli!

Rozczarowana Hilary puściła ją i wstała, próbując się opanować. Przesunęła ręką po włosach, uświadamiając sobie, że ich nie czesała od chwili wyprawy do wodospadów. Sekret ten dotyczył zapewne tego, że dziecko zostało poczęte przed ślubem. Terri nie przypuszczała, że Hilary o tym wie, i w jej niewinnej głowce sprawa mogła urastać do potężnych rozmiarów.

- Wiesz co, Hilary - Terri zgarbiła się, nerwowo obracając filizankę - czasem bywasz despotyczna.

Hilary zrobiło się przykro.

- Przepraszam. Nie chciałam sprawić ci bólu i nie powinnam stawiać cię w takiej sytuacji. Nie musisz zdradzać mi żadnych sekretów.

- Nie rozumiesz. Przez cały czas chodzi mi o to - Terri podniosła wzrok na starszą siostrę, a jej pogodne oczy stały się poważne - że jesteś zawsze taka... nie wiem, jak to ująć... O! Taka chodząca doskonałość. Nigdy nie popełniasz błędów i zawsze jesteś rozczarowana, gdy inni nie potrafią ci dorównać - uśmiechnęła się bezradnie. - Potrafisz sprawić, że człowiek czuje się jak śmieć.

Hilary słuchała tego z bolesnym zdziwieniem. Nigdy nie słyszała od siostry czegoś podobnego, nie przypuszczała nawet, że Terri może tak myśleć. Czy rzeczywiście jawiła się jej w aż tak niepochlebny światło? Jako ktoś nieustępliwy, skłonny do wydawania wyroków, bezwzględny?

Usiadła na sofie obok Terri.

- Kochanie - drżącymi palcami wyjęła z jej rąk filiżankę i odstawiała na stół, a następnie ujęła dłonie siostry.

- Nigdy mnie nie zawiodłaś, nigdy. To, co się zdarzyło, nie było twoją winą. Nigdy cię nie oskarżałam.

- O to mi właśnie chodzi. Nie chcesz pogodzić się z tym, że popełniam błędy. A przecież je popełniam. Wiele z tego, co zaszło, było moją winą. Nie wiedziałam, że ma żonę, ale wiedziałam, że jest dla mnie za stary. I wiedziałam, że nie powinnam z nim sypiać, ale zupełnie straciłam głowę. A wiesz, co było najgorsze? Nie jego oszustwa, nie wezwanie do sądu, lecz to, że musiałam przyznać się tobie.

Łzy wezbrały w jej oczach, głos drżał.

- Wówczas wszystko stało się nie do zniesienia, to wtedy właśnie poczułam, że dłużej nie wytrzymam...

- Dotknęła blizny po wewnętrznej stronie przegubu.

- A wszystko dlatego, że nie mogłam spojrzeć ci w twarz. Wiedziałam, że nigdy tego nie zrozumiesz.

Nigdy nie zrozumiesz? O czym ona mówi? Hilary nigdy nie wyrządziła Terri krzywdy, nigdy jej nie potępiała, zawsze robiła wszystko, by jej pomóc. Z trudem łapała teraz oddech. Trzeba przeczyścić ten komin, pomyślała. Wciskający się w oczy dym sprawiał, że piekły i łzawiły.

- Widzisz - ciągnęła Terri, jakby słysząc protesty Hilary - nie twierdę, że mnie krzywdziłaś. Nigdy nie zrobiłaś mi nic złego. Ale po tej historii z tatą wciąż powtarzałaś, że mam być silna, tak silna, by nigdy żaden mężczyzna nie złamał mi serca. Ty taka jesteś. Jak mogłabyś zrozumieć, że dałam się ośmieszyć?

Hilary znów zamrugła. To nie dym wyciskał łzy z jej oczu. Ich prawdziwą przyczyną był nakreślony przez Terri niezwykle trafny portret. Każde słowo przygniatało ją swoją bolesną prawdą. Każde wielokrotnym echem rozbrzmiewało w jej głowie.

Tak, tak było w istocie. Pocieszała i wspierała swoją małą siostrzyczkę, ale nigdy jej nie rozumiała. Przepelniona pewnością siebie sądziła, że jest jedyną przedstawicielką rodu Fairfaxów, która dzięki swemu rozsądkowi nigdy nie pozwoli wygrać emocjom.

Cóż za ironia! W gruncie rzeczy była najgłupsza z całej rodziny! Nigdy niczego nie pojmowała. Nie wiedziała, czym jest namiętność - jak bardzo zniewala, jak tętni w żyłach, zagłuszając wszelki głos rozumu. Nie zdawała sobie sprawy, że nałogiem staje się potrzeba dotyku ciała ukochanego mężczyzny, że nałogiem jest pragnienie dotyku jego rąk. Nie pojmowała aż do dziś.

Łzy obficie spływały po jej twarzy. Teraz już rozumiała. Teraz, podobnie jak niegdyś jej matka, jak jej siostra, pojęła, czym jest miłość. Ale zgodnie z rodzinną tradycją i ona zakochała się niemądrze. Beznadziejnie. Wbrew zdrowemu rozsądkowi. Pokochała mężczyznę, który, wielki Boże, przypominał jej ojca, twardego biznesmena, nie traktującego jej serio. Zarówno ojciec, jak i Conner nade wszystko kochali władzę. Kochali ją dużo bardziej niż jakąkolwiek ludzką istotę.

Otworzyła oczy. Łzy, gorące i słone, zalały jej twarz. Zakochana w Connerze? To szaleństwo. Równie niszczące jak to, co zamierzała uczynić Terri. To uczuciowe samobójstwo.

Wiedziała jednak, że gdyby przyszedł, pocałował ją i zaproponował choćby jedną wspólnie spędzoną noc, zgodziłaby się bez wahania. Nie dlatego, że byłoby to rozsądne, nie dlatego, że potem cierpiałyby mniej, lecz dlatego, że przeżyłaby wówczas chwilę prawdziwego szczęścia, chwilę, dla której warto było żyć. A także z tej racji, że jej ciało, które nie myśli i

nie zastanawia się, a jedynie reaguje, domagało się takiej właśnie nocy.

Nachyliła się i pocałowała Terri.

- Przepraszam cię - powiedziała. - Byłam głupia. - To przynajmniej jest prawdą. Bez reszty głupia...

- Nie - Terri potrząsnęła głową, obejmując Hilary za szyję. - Nikt nie ma lepszej siostrzyczki na tym świecie

- oświadczyła lojalnie, tonem bliskim płaczu.

Niemal nie słyszała klucza, który obrócił się w zamku. Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich Conner, a obok Marlenę. Trzymał ją pod ramię. Tym razem Marlenę rzeczywiście potrzebowała jego wsparcia. Sprawiała wrażenie kruchej, wyczerpanej i całkowicie ujarzmionej.

Hilary zerwała się, wypuszczając Terri z ramion i błyskawicznie ocierając łzy z policzków. Marlenę nie powinna zauważyć, że płakała. Wszystko będzie dobrze i wszyscy muszą teraz z wiarą patrzeć w przyszłość.

- Cześć! - wykrzyknęła, mocno obejmując kuzynkę.

- Chodź, pomogę ci się położyć. Conner, ja...

Ale nie zdołała skończyć. Zadzwoił telefon i Conner ruszył, by go odebrać. Patrzyła na niego przez chwilę, zdumiona, że poruszał się równie energicznie i sprężysto jak rano. Uciążliwy dzień nie odcisnął na nim żadnego śladu, jedynie oczy lekko mu ściemniały, a usta zacisnęły się może zbyt mocno. Stała nieruchomo, czekając, aż skończy rozmawiać. Natomiast Marlenę mruknęła ze złością:

- Zawsze te interesy - i skierowała się w stronę swojego pokoju.

Hilary obróciła się i wyciągnęła do niej rękę, ale kuzynka odsunęła ją od siebie.

- Chcę być przez chwilę sama - powiedziała, opierając się dłonią o ścianę, by utrzymać równowagę. - Muszę się umyć. - Uśmiechnęła się do Hilary niepewnie i przepraszająco. - Przyjdź do mnie później, dobrze?

- Dobrze.

Hilary starała się nie okazywać dezaprobaty dla jej opryskliwego zachowania. Marlenę była wyraźnie przygnębiona, i to bez uzasadnienia. Przecież doktor Pritchard orzekł, że wszystko jest w porządku.

Wtem przypomniała sobie zaskakujące pytania Terri. Spojrzała na oddalającą się sylwetkę Marlenę z uczuciem rosnącego lęku.

- Terri! - szepnęła tak miękko, by rozmawiający przez telefon Conner nie mógł ich usłyszeć. Terri posłusznie wstała i podeszła do stojącej w holu siostry. - Co się dzieje z Marlenę?

- Nie wiem - odparła równie cicho Terri. Zatrzymała się w pewnej odległości od Hilary, jakby uznając, że lepiej nie podchodzić do niej bliżej. Znow zaczęła przygryzać dolną wargę i miętosić chusteczkę, którą wciąż trzymała w ręku. - Ale... kiedy pójdziesz porozmawiać z Marlenę, pamiętaj, co ci mówiłam.

Hilary znow poczuła, że przenika ją lodowaty chłód.

- O co ci konkretnie chodzi?

Terri miała już chyba poranione wargi.

- No wiesz - wykrztusiła - o to, żebyś nie dała jej odczuć... żeby nie poczuła się jak śmieć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy w dziesięć minut później Hilary zapukała do jej pokoju, Marlenę siedziała na łóżku zrozpaczona i blada. Tusz do rzęs rozplątywał się pod niebieskimi oczyma, nadając jej wygląd posiniaczonej ofiary napadu.

- Jak się czujesz?

Hilary uściśliła ją serdecznie i usiadła na brzegu łóżka. Miała poczucie winy. Wiedziała przecież, że w istocie jest nędznym tchórzem i dlatego chce jak najszybciej uciec z tego pokoju, uchronić się przed kłopotliwą tajemnicą, jaką Marlenę miała się z nią podzielić. Była rozbita emocjonalnie.

- Strasznie.

Oczy Marlenę napełniły się łzami, które spływały szarym od tuszu strumykiem po jej policzkach. Jakież pożałowania godne trio tworzymy my, kobiety z rodu Fairfaxów, myślała Hilary, próbując uzyskać dystans do sprawy. Cała trójka siedzi w tym pięknym domu i nic nie robi, tylko wyplakuje sobie oczy.

Ale nie uzyskała dystansu. Czowała się kiepsko. Była zbyt zmęczona, by zmierzyć się z nową porcją złych wiadomości. Poklepując Marlenę po ręce mówiła coś, co miało ją podnieść na duchu i równocześnie modliła się o to, by jej kuzynka zaczekała... by wybuch nastąpił dopiero jutro.

- Och, Hilary! - Marlenę wpiła się w jej rękę. - Naprawdę muszę z tobą porozmawiać!

Ze ściśniętym sercem, milcząc, Hilary przytaknęła. Godziła się na to, co nieuchronne. Marlenę nie będzie dłużej czekać. Hilary odsunęła więc swoje zmartwienia na bok. Starła się przybrać minę kogoś, kto kocha i zarazem jest silny.

- Słucham - powiedziała miękko. - Mów!

Ale Marlenę spojrziała najpierw na ścianę, zagryzając wargi. Zagryzała je tak często, że były już opuchnięte.

- Nie wiem, czy mogę...

- Możesz, z całą pewnością możesz.

Wydawszy krótki szloch, Marlenę przeniosła wzrok na Hilary. Jej oczy zasłane łzami przypominały deszczowe niebo.

- Powiedz, że się na mnie nie gniewasz!

Zupełnie jak Terri, pomyślała Hilary. Ogarnęło ją dotkliwie poczucie winy. Boi się Świętej Hilary, która niczego nie wybacza. Jak mogłam tak bardzo zawieść je obie!

- Obiecuję - powiedziała. - Wiesz przecież, że cię kocham.

- Conner... - ciągnęła Marlenę. Jej głos wznosił się niebezpiecznie. Jej palce zaciskały się, niemalże zadając ból Hilary. - Musisz mi obiecać, że nie powiesz Connerowi.

Hilary opuściła odwaga. Obiecać, że nie powie Connerowi? Jakże może tak zrobić?

- Słuchaj - powiedziała, starając się, by głos jej brzmiał spokojnie. - Nie wiem, czy mogę...

- Musisz! - Mimo że to, co mówiła, nie było głośniejsze od szeptu, Marlenę zdawała się krzyczyć. - Jeśli mi tego nie obiecasz, nic ci nie powiem. A skoro nikomu nie mogę powiedzieć, nie wiem... nie wiem, co zrobię...

Któż by się oparł takiemu argumentowi? A jednak Hilary wciąż się wahała. Szósty zmysł ostrzegał ją, że jeśli się zobowiąże, będzie tego żałować.

- Proszę - naciskała Marlenę. - Nie wiem, co robić. Potrzebuję twojej rady!

Słowa te rozdzierały serce Hilary. Gdyby było to coś, o czym naprawdę Conner powinien wiedzieć, może uda się jej nakłonić kuzynkę, by powiedziała mu o tym później. A teraz, jeśli nie obieca dochowania tajemnicy, któż posłuży radą Marlenę, radą, której potrzebuje tak rozpaczliwie?

- Dobrze - odrzekła, tłumiąc swoje wątpliwości. Kłopot pojawiał się tu, teraz. Musiała się z nim jak najszybciej uporać. Z jutrzejszymi kłopotami da sobie radę jutro.

- Obiecuję ci, że nic nie powiem Connerowi, jak długo będziesz tego chciała. - Ucisnęła rękę Marlenę. - No więc, czym się denerwujesz?

Przez chwilę Marlenę milczała. Jej głowa opadła na poduszki, a twarz w błysku światła nabrała barwy popiołu. Wyglądała tak młodo. Była taka młoda. Hilary wyciągnęła rękę i przesunęła nią po bladym czole kuzynki.

- No, powiedz, kochanie.

- Chodzi o dziecko - mówiła, przymknawszy oczy.

- O datę urodzin. Okłamałam lekarza. On myśli, że dziecko przyjdzie na świat w grudniu. - Znowu zagryzła wargi. Dwie łzy wyciekły spod jej przymkniętych powiek. - Nie uwierzył mi, ale choć naciskał, nie przyznałam się, musiał zrezygnować. Powiedział Connerowi, że dziecko jest duże i że szybko się rozwija.

W końcu otworzyła oczy. Przebiła z nich udręka tak wielka, że widok ten niemalże zaparł Hilary dech.

- Spodziewam się rozwiązania za kilka tygodni. Może zaraz po Wszystkich Świętych, o miesiąc wcześniej, niż wszyscy oczekują.

Hilary potrząsnęła głową niczego nie rozumiejąc. Czyżby cały problem miał się sprowadzać do banalnej kwestii daty?

- I co w tym groźnego? - zapytała. - Conner umie liczyć.

Musiał się już domyślić, że byłaś w ciąży, kiedy wyszłaś za Tommy'ego. Co za problem? Miesiąc w tę, miesiąc w tamtą stronę...

Ale wówczas, gdy to mówiła, gdy z oczu Marlene znów popłynęły łzy, nagle zrozumiała. Na ogół nie była tępą, lecz jej podświadomość tłumiała dotąd wszelkie podejrzenia. Pokój gwałtownie zmalął, powietrze stało się gęstsze.

Jeden miesiąc. Ale nie był to zwykły miesiąc.

Marlene dostrzegła oznaki przestרחu na twarzy Hilary.

- Rozumiesz? O, Boże! - ton jej głosu był wysoki, zamierał w napięciu, łamał się w szloch. - Ja wtedy jeszcze nie znałam Tommy'ego.

Pokój zaczął wirować. Hilary zamknęła oczy, pragnąc odzyskać równowagę. Nieszczęsny miesiąc! Pierwszy miesiąc

ucieczki Marlene z domu. Miesiąc, w którym nikt niczego o niej nie słyszał. Naturalnie, rzecz przyćmiły późniejsze wiadomości, że Marlenę poznała uroczego Tommy'ego St. George'a, że wyszła za niego za mąż.

- Och, Hilary! - Marlene łkała, przyciskając miękką odrętwiałą rękę kuzynki do swych mokrych policzków. - Co ja mam robić? Przecież to nie jest dziecko Tommy'ego!

Kiedy dwadzieścia minut później Conner zapukał do drzwi, rozmowa obu kuzynek utknęła w martwym punkcie. Ledwie oschły jej łzy, a już Marlene stała się uparta jak muł. Naciskała na Hilary, aby ta obiecała, że będzie milczeć i zapewniła, że obietnicy tej nie złamie. Hilary siedziała z głową ukrytą w dłoniach, zmęczona wysiłkiem, jaki włożyła w przekonywanie kuzynki, że trzeba to powiedzieć Connerowi.

- Ale Tommy chciał traktować dziecko jak własne

- powtarzała uparcie Marlenę. Wracała do tej kwestii co najmniej kilkadziesiąt razy. - Tommy wiedział, że to nie jest jego dziecko, lecz chciał mi pomóc. Taki już był, dobry i szlachetny. Jaka szkoda, że go nie znałaś. Z pewnością byś go polubiła. W ogóle nie był taki jak Conner.

Hilary potrząsnęła głową. Wielokrotnie przedstawiała swoje stanowisko, ale wydawało się, że żaden z argumentów nie mógł osłabić niezłomnej determinacji jej kuzynki. Wyznanie jakby oczyściło duszę Marlenę, która teraz wróciła do swego dawnego „ja”, pokładała w sobie zaufanie, liczyła na to, że sama potrafi wybrnąć z tej koszarnej sytuacji.

Ojcem dziecka był jakiś facet, który rozpląnął się we mgle, zanim o swym ojcostwie mógł się dowiedzieć. Marlenę była przerażona. Sprawiała wrażenie udęczonej piękności, niejako tragicznej heroiny, fascynującej młodego romantyka, jakim był Tommy St. George.

- Conner wpierv umrze, nim pomoże komuś, kto znalazł się w kłopotcie - ciągnęła Marlenę. Oczerniając Connera,

usprawiedliwiała siebie. - Ludzie nic go nie obchodzą. Czy ty wiesz, że nie obchodził go nawet Tommy?

Oczywiście Hilary wiedziała o tym. Marlenę mówiła jej to setki razy. Dziś cała rozmowa przebiegała w tym właśnie duchu. Conner był taki podły. Taki egoistyczny. Taki nieczuły. Te zarzuty oszałamiały Hilary. Czy w rzeczy samej Marlenę myślała, że dlatego, iż Conner nie jest doskonały, lecz taki jak inni - nie bez wad, trzeba go okłamywać... okłamywać aż do końca?

- Po prostu nie można mu tego powiedzieć - jęczała Marlenę bliska łez. - Ja tego nie potrafię znieść. Wiem, co on zrobi. Wścieknie się, wpadnie w szał. On... - drżąc podciągnęła koldrę pod brodę - on mnie zabije.

- Nie mów tak - powiedziała Hilary wyczerpanym, monotonnym głosem. - To melodramatyczne. I nieprzyzwoite.

Rozumiała jednak, o co Marlene chodzi. Conner nigdy nie uciekły się do przemocy, gdyby jednak odkrył, że go oszukano, jego gniew... O, Boże, w co się wpakowałam!

Kiedy Conner zapukał do drzwi, serce Hilary zadrżało. Nagle poczuła się tak bardzo winna, że nie mogła spojrzeć mu w oczy. Przecież i ją znienawidzi. Uświadomiła sobie po raz pierwszy swoją obecność w tej sprawie. Gorąco broniła Marlene od samego początku, zwłaszcza wówczas, gdy ośmielał się sugerować, że jej dziecko mogło nie być dzieckiem Tommy'ego.

Istniał jeden tylko sposób na wydostanie się z tych ruchomych piasków, w jakie wpędziły ją kłamstwa Marlene. Bez względu na to, co się później stanie, trzeba powiedzieć o tym Connerowi.

Z pewnością Marlene mogła to zrozumieć. W milczącej rozpacz Hilary patrzyła na swoją kuzynkę. Ale ta, marszcząc brwi, przesywała ją ostrzegawczym spojrzeniem.

- Obiecałaś - szepnęła, gdy otworzyły się drzwi.

- Cześć! - wesóło powiedział Conner, najwyraźniej nieświadomy zamętu, w który wkraczał. - Jak się czujecie?

- Okropnie - odparła Marlene ponurym głosem. - Lekarz powiedział mi, że co najmniej dwa dni muszę leżeć.

- Oczywiście, na wszelki wypadek - powiedział potakująco. - Dzwonił doktor Pritchard. Prosił, żeby ci powiedzieć, że nie ma się czym przejmować. Mówił, że dziecko jest dostatecznie rozwinięte i że nic by mu nie groziło, nawet gdybyś miała urodzić je dzisiaj. - Uśmiechnął się znowu. - Oczywiście nie myśli, że je dzisiaj urodzisz, ale zawsze to uspokaja.

Ton jego głosu zdawał się dodawać otuchy. Przypominał ton głosu rodziców, gdy mówią dobranoć wystraszonemu dziecku. Przysłuchującą się temu Hilary uderzyło, że Conner zawsze tak traktował Marlenę. Bez względu na to, czy próbowała flirtować, czy też była opryskliwa, zawsze odzywał się do niej, jak do trudnego dziecka, z którym trzeba sobie jakoś radzić.

Nie, nie mogę tolerować dłużej tego haniebnego wyzysku, pomyślała w pośpiechu. Marlenę zacnie rodzic za dwa tygodnie. Dam jej jeszcze tydzień na opamiętanie. Tydzień na to, by powiedziała Connerowi prawdę, a jeśli tego nie zrobi...

Ciałem Hilary wstrząsnął dreszcz. Niech się dzieje, co chce! Bez względu na groźbę sytuacji, bez względu na daną obietnicę, powie o tym Connerowi.

Tej nocy spała około trzech godzin, potem obudziła się z rozdygotanym sercem. Miała straszny sen. Na szczęście nie mogła go sobie przypomnieć. Usiadła na brzegu łóżka, powoli odzyskując świadomość. A kiedy ją odzyskała, przeszył ją raptowny ból. Zdała sobie sprawę, że rzeczywistość jest jeszcze gorsza od koszmaru. Przytrzymując włosy jedną ręką, otarła wilgotny kark drugą. Ponieważ Marlenę skarżyła się na chłód, Conner nastawił ogrzewanie na pełny regulator. Teraz duszny pokój zdawał się ją przygniatać. Pragnęła świeżego powietrza. Włożyła szlafrok na nocną koszulę. Otworzyła francuskie drzwi, które prowadziły na balkon. Może tam, pod spokojnym nocnym niebem, znajdzie chwilę ukojenia. Znalazła. Ucichł wewnętrzny zamęt i nareszcie mogła myśleć z nieco większą jasnością.

Wczoraj w nocy, gdy przewracając się na łóżku próbowała uciec w sen, rozważyła całą sprawę i doszła do trudnych wniosków. Najważniejszym z nich było postanowienie, że nie można odkładać na tydzień wyznania Connerowi całej prawdy. Jutro musi powiedzieć mu wszystko, gdy tylko Terri, która przecież w nic nie była zamieszana, wsiądzie w samolot i będzie już daleko. Nie, poprawiła się ze smutkiem, przypominając sobie, że jest już trzecia nad ranem. Nie jutro. Dzisiaj.

Mimo iż będzie to najtrudniejsze z posunięć, jakie kiedykolwiek zrobiła, przeżyje to i przeżyje to Marlenę. W domu Hilary znajdzie się miejsce dla nich wszystkich - dla Terri, Marlenę i dziecka. Chwała Bogu, firma przynosi zysk. Przez jakiś czas utrzyma całą trójkę, choć, oczywiście, nie zapewni jej luksusowych warunków, jakie stwarzał St. George. A później, gdy Marlenę zaczną pracować, będą mogły zwrócić dług Connerowi. Oczywiście potrwa to długo. Przypomniała sobie rzeczy, które tak łapczywie kupowała Marlenę - ręcznie szyte ubranka do chrztu, kolorowe zabawki, pastelowe, jedwabne suknie na czas ciąży. Och, Marlenę, myślała Hilary z przemożnym uczuciem wstydu. Jakże jej kuzynka mogła znajdować upodobanie w tych przywłaszczonych sobie skarbach!

No cóż, trzeba będzie jakoś rozwiązać kwestie praktyczne. Należały przecież do tej samej rodziny. I, należąc do niej, musiały wspólnie ponosić odpowiedzialność.

Do tego doszła kilka godzin temu. Ale teraz, gdy powietrze było tak przejrzyste, że pozwalało widzieć na odległość wielu mil, w końcu zrozumiała, iż tragiczne powikłanie polegało na czymś, czego nie mogła doprowadzić do porządku.

Rzeczywistą zbrodnią okazywało się to, że z chwilą, gdy jutro rano Conner dowie się prawdy, na zawsze straci brata. Tommy St. George odejdzie raz na zawsze, a wraz z nim dziecko, które utrwalałoby pamięć o Tommym, mając jego geny i jego krew.

- Tommy, zaczekaj! - krzyk udręki zawisł w chłodnym, opustoszałym powietrzu.

Zelektryzowana Hilary podbiegła do balustrady balkonu i właśnie wtedy usłyszała cichy jęk Connera. Za ledwie kilka kroków dzieliło ją od jego drzwi. Była tak blisko. Wychylając się przez balustradę, mogła dotknąć szklanej tafli okien jego pokoju. Do domu przylegała krótka kondygnacja schodów, prowadząca z jej na jego balkon. By pokonać tę odległość, wystarczyło kilka kroków.

Ale nie umiała, nie mogła się ruszyć. Każde z nich musiało cierpieć w samotności. Trwał tam, zamknięty, we śnie pełnym udręki, ona zaś tutaj, tak bardzo pogrążona we wstydzie, że nie mogła wydobyć z siebie słowa, obciążona zbyt wielką winą, by ofiarować pocieszenie.

Ale nagle rozwarły się drzwi, uderzając w zewnętrzną ścianę budynku i wstrząsając całym piętrem. Conner wybiegł na balkon. Miał na sobie długie, luźne spodnie od piżamy. Niczego nie widząc, dopadł okna, jak ktoś ścigany przez koszmary. Zatrzymał się dopiero wówczas, gdy dotarł do balustrady. Uchwycił się jej, rozpościerając ręce. Głowa opadła mu na piersi. Oszołomiona Hilary myślała jedynie o tym, że musiało mu być zimno. Z trudem łapał powietrze, a przyspieszony oddech zamieniał się w skłębioną mgłę. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z temperatury, że niczego nie jest świadom, prócz rozgrywającego się w nim dramatu.

Pojmowała, że heroicznie zmagal się z koszmarem i że wysiłek włożony w tę walkę wiele go kosztował. Wilgotna, naga skóra błyszcząca w świetle księżyca, a mięśnie ramion przypominały zwoje grubych lin. Spodnie osunęły się na biodra, a zmierzwiłone włosy opadały na czoło w gwałtownym nieładzie.

Nagle dostrzegł ją kątem oka. Zastygły mu ręce zarzucone na tył głowy. Powoli obrócił się ku niej, patrząc tak, jakby była duchem.

Ona również spojrzała na niego, niezdolna wydobyć z siebie słowa. Światło gwiazd pokryło falujące mięśnie jego uniesionych do góry ramion, spływało wzdłuż torsu i zanikało w miękkiej czerni pizamy. Widok ten zaparł jej dech. Odbierał głos, oddech i mącił duszę.

- To ty? - Opuścił ramiona płynnym ruchem i cofnął się w stronę domu, aż stanął tuż pod jej balkonem. - Co ty tu robisz?

- Nie mogę spać - powiedziała, podziwiając intensywnie męski kontur jego ciała.

Do tej pory nigdy nie zdawała sobie sprawy, że mięśnie męskiego ciała splatają się jedne z drugimi tak, by ukształtować złożony wzór siły i piękna.

- Ja też nie mogę - jego głos był bezbarwny, odarty z wszelkich emocji, tak jakby starał się przesłonić dręczącą go prawdę towarzyską formą.

Wiedziała, że to do niej należy właściwe rozwiązanie. Powinna grzecznie przeprosić i wycofać się do swego pokoju, tak by mogli spotkać się dopiero jutro, tym razem już w obrębie cywilizowanych form, w świetle dnia. Ale przecież nie mogła zostawić go samego, zdając sobie sprawę, co czeka go jutro.

- Wiem - powiedziała z zuchwałą miną. - Miałeś zły sen. Słyszałam, jak krzyczałeś.

- Przepraszam, jeśli cię zbudziłem - powiedział słabym głosem.

Miała rację. Nie był to człowiek, który chciałby, by inni byli świadkami jego zmartwień. Cofnął się o krok. Próbuje zachować dystans, pomyślała, obserwując go. Ale rzeczywiste oddalenie okazało się w tych warunkach rzeczą niemożliwą. Teraz, w środku nocy, gdy ich oboje, na wpół ubranych, dręczyły sny nie dające im spokoju.

Jak mogła udawać chłodną uprzejmość, kiedy każde spojrzenie, którym go obrzucała, sprawiało jej ból, napinało nerwy, podczas gdy w pamięci ożywały dręczące wspomnienia wczorajszego dnia.

- Nie powinienem był cię umieszczać w sąsiednim pokoju - powiedział monotonnym głosem. - Jutro każę Janie przenieść twoje rzeczy.

- Nie chciałabym się przeprowadzać - powiedziała, porzucając wszelkie pozory obojętności. - Chcę ci pomóc.

W pierwszej chwili spojrzął na nią tak, jakby zrozumienie tych prostych słów, które wypowiedziała, sprawiało mu trudność. Ale potem zaśmiał się śmiechem równie niepewnym, jak jego głos. Wówczas zorientowała się, że niewiele brakuje mu do całkowitego załamania.

- Pomóc? - Przecięgnęła ręką po włosach, odrzucając je z czoła. - To bardzo miłe... to bardzo uprzejme z twojej strony... Niestety, nie można mi pomóc.

Z jego słów emanowała gorycz. Niosła ze sobą chłód jeszcze silniejszy niż ten, który wypełniał nocne powietrze. Nie poddała mu się jednak. Conner jej potrzebował. Być może za dnia panował nad wszystkim, lecz nocą był bezradny. Wyglądał tak, jakby nie spał od wielu tygodni.

- Dlaczego nie mogę ci pomóc? - zapytała, wychylając się do przodu, by skrócić odległość, którą on starał się zachować. Piersiami oparła się o balustradę, a jej włosy opadły na wysokość jego ramion. Wyciągnęła rękę. - Dlaczego nie pozwalasz, żebym spróbowała...

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej dłonie. Potem zaklął i z gniewem zacisnął pięści wokół drewnianych słupów poręczy.

- Jak zamierzasz mi pomóc? Czy potrafisz cofnąć czas? - Szarpnął poręczą niczym zwierzę w niewoli, rzucające się na kraty swojej klatki. - Czy raz jeszcze dasz mi szansę na ułożenie stosunków z bratem? Czy wrócisz życie umarłemu?

- Każde słowo wdzierало się w nią jak ostry kiel. - Bo jeśli tego nie potrafisz, niczego nie możesz dla mnie zrobić.

Ale jego wściekłość nie przeraziła jej. Rozpoznawała w niej tylko ból. Klęcząc, ujęła w swoje dłonie jego chłodne palce, które nadal zaciskał wokół słupów. Jej twarz znalazła się tuż nad

jego twarzą. Wpatrywała się w jego oczy poprzez pręty balustrady.

- Nie - powiedziała, łagodnie masując mu palce. Próbowала je ogrzać. Próbowала rozluźnić uchwyt, przypominający imadło zaciśnięte wokół drewna. - Nie potrafię zrobić tego, ale mogę cię wysłuchać i mogę się tobą opiekować.

- Wysłuchać? Czego? Krzyku nocą? - Jego oczy utonęły w ciemności. Nawet światło gwiazd nie potrafiło wydobyć ich barwy. - Na Boga! Tak pragnąłbym, byś nigdy go nie słyszała.

- Czemu? - zapytała, wciąż głaszcząc jego ręce.

- Przecież nie musisz się wstydzić. Wzywałeś swego brata. I to wszystko.

- Wzywałem? - Przez chwilę jego gniew zdawał się słabnąć. Brwi zbiegły mu się na czole. - Naprawdę wzywałem?

- Nie pamiętasz? Powoli potrząsnął głową.

- Nie. Nigdy nie wiem, co mówię przez sen. Nie wiem nawet, czy w ogóle wówczas mówię. Naraz budzę się i pokój zdaje się rozbrzmiewać moim głosem.

Przypomniała sobie, jak chwilę temu wypadł przez drzwi, uciekając przed dźwiękiem własnego krzyku.

- A czy pamiętasz sen?

Z westchnieniem oparł głowę o słup, tak jakby była zbyt ciężka, by ją unieść.

- O Boże! Tak. - Przymknął oczy. - Zawsze pamiętam.

- Opowiedz mi - powiedziała. Jej ręka napotkała ciemną falę jego włosów. Odgarnęła ją znad jego oczu. - Opowiedz mi o tym śnie.

- Nie - wyszeptał. Jej palce przesunęły się po jego policzku. Musnęły zarost podbródka. Czują, jak drżą mięśnie jego szczęki.

- Nie.

Ale teraz, gdy jej dłonie odnalazły go, nie mogła ich już powstrzymać. Uczyły się kształtu jego czoła, policzków, nosa, podbródka... Ta twarz była tak jednoznacznie męska - układ twardych kości pod miękką skórą.

Gdy zbliżała ku niemu swoje wargi, Conner otworzył oczy. Nie ginęły już w ciemności. Srebrzyście błyszcząco w nich światło gwiazd.

- Nie - powtórzył, ale już innym głosem, który, tak jak i jego twarz, emanował siłą ukrytą pod jedwabistą powierzchnią. - Nie chcę mówić o tym śnie.

Oderwał ręce od poręczy i sięgając poprzez balustradę, ujął jej twarz w swoje dłonie, jakby naśladowując gesty, które wykonywała przedtem. Dotykał teraz jej skóry tak lekko, że przypominało to muśnięcie piórka. Wyznaczał owal policzka. Delikatnie zakreślał linię ust.

- W ogóle nie chcę mówić - powiedział głosem, który przypominał cichy pomruk.

Oto pęka atlasowa powłoka, pomyślała. Odslania naga siłę. Wsunął ręce w jej włosy i przyciągnął ją bliżej, ku sobie, tak blisko, jak tylko pozwalała na to dzieląca ich balustrada. Zachwiała się nieznacznie i instynktownie szukając utraconej równowagi, oparła się o słup. I właśnie wtedy pocałował ją chłodnymi wargami. Ich dotyk poraził ją jak ostrze mroźnej błyskawicy. Zadrżała, nie panując nad sobą. Setki tysięcy nerwów ożyło w jej ciele.

W miarę, jak trwał pocałunek, jej ręce coraz mocniej zaciskały się wokół słupa. Lekko rozchylił wargi, na tyle jednak, by poczuła delikatne, łagodne ciepło jego oddechu.

Tego ciepła nieświadomie szukała. Przesuwała koniuszkiem języka wzdłuż brzegów jego dolnej wargi, a on odpowiadał na to głuchym pomrukiem.

- Hilary... - wyszeptał gwałtownie, gdyż pocałunek pozbawił go tchu.

Był teraz mocniejszy niż przedtem, głębszy. Ogarnął ją zachwytem. Zmieszały się granice, tak jak wilgotne ciepło ich obojga zmieszało się i złączyło.

Ale to nie wystarczało. Przeszkadzała im balustrada. Ich ciała nie mogły stopić się w jedno, choć obiecywało to złączenie ich

warg. Miała zamknięte oczy, lecz wciąż jawił się przed nią obraz jego ciała w świetle księżyca. Ciemne, kędzierzawe włosy układały się w kształt litery V, biegnąc od piersi aż do brzucha. Pod nimi brodawki piersi twardniały w mroźnym powietrzu.

Jego piersi są zimne, myślała i wyobrażała sobie, jak przywiera do nich, jak godzi się na chwilowy dreszcz chłodu po to, by później odnaleźć rozkoszne ciepło. Gdybyż tylko mogła sięgnąć... Tylko balustrada ich dzieliła. Wystarczyłoby ją usunąć i dotknęłaby dłońmi tych twardych męskich brodawek. Ogrzałaby je, aż zmiękłyby pod dotykiem jej palców. A potem, w chwili, w której będzie na to gotowa, znowu by stwardniały.

- Chcę ciebie - powiedziała, gdy na chwilę ustał pocałunek, który odbierał oddech, zagubiona wśród rosnącego zgiełku swoich myśli.

Oderwał od niej usta i zapytał:

- Jesteś tego pewna?

Czy była pewna? Ależ tak, tak! Nigdy niczego nie była tak pewna. Czuła mrowienie w piersiach. Nabrzmiwały jej sutki, a równocześnie dojrzywało to, co ukryte, lecz wyposażone w straszliwą moc. Przypominała kabel elektryczny pod napięciem, który wolno porusza się, chwilami iskrzy, lecz w każdej chwili, dotknięty, gotów jest porazić, wstrząsnąć całym światem.

- Chcę ciebie - powtórzyła.

Wtedy wypuścił ją z objęć. Otworzyła oczy. Krew z siłą grzmotu zaczęła tętnić w jej skroniach. Widziała jego nabrzmiące usta, widziała dwie srebrzyste gwiazdy migotliwie lśniących oczu.

- Więc chodź do mnie - powiedział i zszedł po schodach, znikając w mrokach domu.

Z trudem utrzymując równowagę wstała, lecz gdy spojrzała w dół, szukając go wzrokiem, pewność całkowicie ją opuściła. Otworzyła usta, jakby chciała o coś spytać, ale nie wypowiedziała żadnego słowa. Pragnęła tylko, by znów się ukazał.

- Chodź do mnie, Hilary! - powiedział głosem niskim i rozkazującym, niczym hipnotyzer wydający polecenia uśpionemu medium. I jak medium nie panowała nad swoimi nogami, nie panowała nad własnym ciałem. - Pokaż mi, że jesteś tego pewna.

Schody zaczynały się tuż za nią. Tylko cztery stopnie i znajdzie się w jego ramionach. Bicie serca zagłuszało słaby głos zdrowego rozsądku, który szeptał: Pomyśl o jutrze. On jutro nawet na ciebie nie spojrzy...

Ale jutro nie istniało. Istniała tylko ta noc i jej miłość do tego smutnego mężczyzny, tak silnie działającego na jej zmysły.

Uczepiona poręczy wolno pokonywała schody, głęboko wciągając powietrze i próbując zachować równowagę. Gdy dotarła do ostatniego stopnia, chwycił ją w ramiona i przytulił do swojej chłodnej, twardej piersi. Nawet przez gęsty aksamit okrycia czuła bicie jego serca. Pragnęła uwolnić się z tego miękkiego materiału, dotknąć swoją skórą jego ciała, odnaleźć rytm jego serca. Niósł ją przez otwarte wysokie drzwi, przez mrok pokoju, na drugą stronę, gdzie padało słabe światło księżycy. Dotarł do łóżka i ostrożnie ją postawił, tak iż wolno osunęła się wzdłuż jego ciała, dotykając w końcu stopami ziemi.

Czekała, wstrzymując oddech, by rozpiął klamrę jej szlafroka, ale on nawet jej nie dotknął. Natomiast jednym błyskawicznym ruchem szarpnął węzeł sznura przytrzymującego spodnie od piżamy, która natychmiast ześlizgnęła się wzdłuż jego muskularnych nóg, osuwając się na podłogę niczym cień.

Stał teraz, pozwalając jej oczom przywyknąć do bladego światła, do widoku jego nagiego ciała. Był tak piękny, że nie mogła wprost uwierzyć. Milcząc chłonęła jego urodę. On zaś, mimo iż starannie ubrana ogarniała go badawczym spojrzeniem, czuł się swobodnie w swej nagości.

- Dotknij mnie - wyszeptał, biorąc jej drżącą rękę i kładąc na swojej piersi, tam gdzie biło serce. - Widzisz, co sprawiłaś?

Rytm jego serca zdawał się przekazywać nie cierpiącą zwłoki, nagłą wiadomość. Dotykała go, próbując ją odczytać. Zanim jednak zdołała odcyfrować tajemny szyfr, pokierował jej ręką w stronę swego płaskiego, twardego brzucha, a potem niżej, aż w końcu żar jego pragnienia zaczął niemal parzyć jej zdumione palce.

- I tutaj - trzymając rękę na jej dłoni prowadził ją do celu. - Czujesz, jak na mnie działasz?

Z jej ust wydarł się nieartykułowany wyraz zachwytu, instynktownej reakcji na nowe, zaskakujące doznanie.

- Czy to wstyd, że tak bardzo cię pragnę? Potrząsnęła głową, zażenowana jego pytaniem. Wstyd?

Wstyd, że jest taki piękny? Taki... męski?

- Nie - odparła, rozkoszując się tym, co stopniowo odkrywała. Jego skóra była wszędzie taka sama, pod jedwabistą powierzchnią pulsowała siła. Doskonałość kryła w sobie potężną energię. - Czegóż miałbyś się wstydzić?... - zawahała się, szukając odpowiedniego słowa. Zupełnie zatraciła zdolność myślenia wobec tego, co wyczuwała dotykiem dłoni. - Podniecenia?

- A przecież wstydziłaś się, gdy dotknąłem cię wtedy, przy wodospadach - powiedział. - Wstydziłaś się tego, że mnie pragniesz.

Oblana rumieńcem napotkała jego spojrzenie. Milcząco przyznała mu rację.

- To było co innego - wymamrotała.

Zamknął powieki, próbując odtworzyć w pamięci jakiś obraz.

- Byłaś taka piękna - powiedział.

Czuła wzrastające w nim napięcie. Czuła, jak nabiera mocy, jak wzmaga się w jej dłoni. Wiedziała, co znaczy to coraz gwałtowniejsze, gorące pulsowanie. Było oczekiwaniem nieokiełznanego spełnienia, którego ona doznała wtedy, nad wodospadem.

Nie, to nie było oczekiwanie, lecz nieodparta potrzeba. W miarę, jak pod palcami czuła jego rosnące napięcie, wiedziała, że uzyskuje nad nim pełną władzę. I to wypełniało ją niezwykłym podnieceniem.

Kierowana pamięcią własnych reakcji umiała już postępować. On natomiast, wyczuwając jej rosnącą pewność, uwolnił jej dłoń ze swojej. W chwilę potem, gdy jęknął, wiedziała, że zbliża się do punktu kulminacyjnego.

- Czy mam przestać? - wyszeptała, zdumiona niechęcią, z jaką zadaje to pytanie.

Świadomość, że tracił nad sobą kontrolę, sprawiała jej radość. W miarę wzmagania się jego napięcia rosło jej pożądanie. Dzieliła z nim rozkosz. Oddychał głęboko, nierówno.

- Teraz twoja kolej - wyszeptał, by wreszcie zająć się kłamrą jej szlafroka, która szybko poddała się jego zręcznym palcom.

Mruknął z wściekłą niecierpliwością, gdy teraz natrafił na nocną koszulę. Pokonywał jednak kolejne guziki, aż w końcu uporał się z wszystkimi i delikatnie obnażył jej ramiona. Wykazywał jednocześnie niemal nadludzkie opanowanie. Poznawała to nawet po drzeniu jego palców. Ku swemu zdumieniu, miast wstydu, którego się spodziewała, ogarnęło ją jedynie cudowne uczucie wyzwolenia. Rozumiała teraz, czemu rozebrał się pierwszy. Ich ciała były dla siebie stworzone, jedno domagało się drugiego i już nic, nawet lęk, nie mogło udaremnić ich zjednoczenia.

Gdy jej rzeczy osunęły się na podłogę tuż obok jego ubrań, wydał urwane westchnienie.

- Jesteś cudowna - powiedział chrapliwie, chłonąc ją wzrokiem. - Wyobrażałem to sobie co dzień, a jednak nie przypuszczałem, że możesz być tak piękna.

Teraz i jego ręce włączyły się w grę. Dotykały jej, przesuając się po każdej wypukłości, wślizgując w każde wgłębienie z taką wprawą, że w chwilę potem nogi zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa.

Również i to wyczuł. Znow ją podniósł. Jej nagie piersi odcinały się teraz blado od ciemnej skóry jego barków. Trzema krótkimi krokami pokonał odległość dzielącą ich od łóżka i złożył ją tam czule, przyprowadzając niemal o szaleństwo. Nie oczekiwała od niego takiej delikatności. Pragnęła, by ją posiadał w nieokiełznanym uniesieniu, które zmiecie oboje z powierzchni ziemi.

- Kochaj mnie - błagała, wyciągając do niego ręce. - Proszę cię, szybciej.

Odpowiedział jej z tak namiętną pasją, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła. Nienasycony, kolejno przebiegał pocałunkami jej usta, szyję, piersi, aż w końcu wlał się pod nią, błagając, by jednocześnie dotykał ją całą.

Intuicyjnie odczytywał wszystkie jej reakcje. Wiedział, czego chciała, wiedział, kiedy. Uprzedzał jej pragnienia, dawał więcej, niż oczekiwała. Jego ręce były zdecydowane, lecz delikatne. Jego usta władcze, jego palce uparte. Nie chciała, by traktował ją jak kruchy przedmiot, zasługujący na ostrożny szacunek, a on był tego świadom. Pragnęła, by w nieokiełznanym porywie namiętności strawił ją niczym ogień, pragnęła spłonąć, jak płonie spadająca nocą gwiazda.

I płonęła, ztracając się bez reszty.

Teraz ręce Connera wiedziały już, jak postępować, by stało się to, co stać się musiało.

- Wiedziałeś, prawda? - jej głos brzmiał słabo, z trudem łapała oddech. Przypuszczała, że sens jej słów nie zostanie przez niego zrozumiany. - Wiedziałeś, co potrafisz ze mną zrobić. To tak, jakbyś rzeźbił w drewnie.

Nie przestawał jej całować, ale teraz posuwał się w górę, wzdłuż wrażliwej linii brzucha, ku jej piersiom, ku szyi, aż w końcu nakrył ją sobą.

- Tyle że ty, kochanie, nie jesteś drewnem - odparł, obsypując pocałunkami jej włosy, a także miejsca za uszami i nad brwiami.
- Na pewno nim nie jesteś.

- Nie jestem - powtórzyła w oszołomieniu, z trudem wiążąc z sobą myśli. Nisko w dole czuła gorące pulsowanie, napór jego ciała, które szukało drogi do jej wnętrza. - Czy to rozumiesz? Wiedziałaś, co możesz ze mnie zrobić już wtedy, gdy sama jeszcze tego nie wiedziałam.

Uznała, że brzmi to niedorzecznie, ale coś zmuszało ją do wypowiedzenia tych słów. Może, gdy je usłyszy, przestanie sprawiać jej ból.

- Nie, nie rozumiem. Nie szkodzi. Po prostu kochaj mnie, najdroższa.

Ramiona drżały mu z wysiłku, jaki wkładał w panowanie nad sobą. Tymczasem ona położyła mu dłonie na biodrach, bezlitośnie wstrzymując go o centymetry od siebie. Lecz, choć zignorowała jego sprzeciw, nie potrafiła zignorować dotyku ręki, która wsunęła się pomiędzy jej nogi, bezwstydnie pokonując opór.

- Chciałaś, bym była białą, płonąącą gwiazdą. I jestem nią, jestem!

Ku jej zdziwieniu uśmiechnął się. Czyżby powiedziała coś zabawnego? I właśnie wtedy, gdy przestała mieć się na baczości, osiągnął swój cel. Złapała oddech, gubiąc ostatecznie wątek rozpoczętej myśli. Znow zapalił się w niej stłumiony na chwilę płomień.

- Mylisz się, Hilary - mówił, początkowo wchodząc w nią wolno, bardzo wolno. Jego ruchy były pewne i zdecydowane, lecz zarówno ich tempo, jak i siła, za każdym razem nieuchronnie się wzmacniały. - Wiem tylko, czego pragnę i kim chcę cię uczynić.

Potrząsnęła głową. Pod wpływem hipnotyzującego rytmu zapadła w trans. Próbowowała uspokoić oddech, przypomnieć sobie, o co jej właściwie chodziło. Mówił, że czegoś chce, że uczyni ją... Urwała. Jego ruchy stawały się coraz szybsze, aż w końcu przestała myśleć.

- Wiesz, kim będziesz?

- Kim? - wyszeptała, zapominając natychmiast o swym pytaniu. Była teraz gwiazdą. Czy gwiazdy płaczą? Czują, jak łzy toczą się po jej policzkach. Cudownie skazana, wiecznie spadająca gwiazda... Przyłgnęła do jego niezmordowanie poruszających się ramion. - Kim mam...

Nie dokończyła. Nagle zaczęła wirować, wzbijać się w górę i spadać, eksplodując milionami maleńkich gwiazd, skrzących wszystkimi światłami brylantu.

- O, tak! - wołała. - Tak!

Niemal natychmiast, w jednoczesnym rozbłysku, jej iskry, a może jej słowa, podsyciły w nim ogień. Surowa samokontrola ostatecznie się załamała, a rytm ciała stawał się coraz bardziej gorączkowy, prowadząc do wybuchu w ostatecznej, wstrząsającej eksplozji płynnych płomieni.

Potem leżeli - dwie strącone, ściemniałe, zagubione gwiazdy, które istnieją tylko dla siebie.

- Moja - powiedział sennym, stłumionym głosem. - Chcę, żebyś była moja.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie chciała usypiać, nie mogła przecież stracić nawet jednej sekundy z tej ostatniej, jedynej nocy spędzonej w rajcu. Postanowiła zaczekać, aż Conner uśnie, by przy nim czuwać, odpędzając wszelkie koszmary, które mogłyby nawiedzić jego sen.

Leżała przy nim czując, jak jego ręka sennie ociera wilgoć z jej pleców, a w chwilę później ocknęła się ze zdumieniem, słysząc wściekły jazgot budzika i nie rozumiejąc, co się dzieje.

Na wpół przytomna przewróciła się na bok, by sięgnąć nocnego stolika i na ślepo zaczęła naciskać guziki, aż wreszcie dźwięk ucichł. Z ulgą zamknęła oczy. Cóż za hałas! A przecież Julię budził śpiew skowronka.

W miarę, jak budziła się jej pamięć, Hilary otwierała oczy. O Boże, a więc mimo wszystko nadeszło jutro! Światło wczesnego poranka złoćło zmiętą, białą pościel i, niczym ścieżka płynnego złota, kładło się świetliście na drewnianej posadzce. Blask słońca. Tak odmienny od blasku gwiazd, jak skowronek Julii odmienny był od słowika. Świece nocy, powiedziałyby Romeo, wypaliły się i zgasły.

Ale jej Romeo zniknął.

Łóżko od tej strony, po której leżał, było już chłodne, a jego ciało nie odcisnęło śladu na pościeli. Przesunęła ręką po gładkim prześcieradle. Musiał już dawno wstać, a najpewniej wcale nie spał.

Zwinęła się w kłębek w poczuciu klęski. Zawiodły ją pragnienia, nic nie zmieniła ta noc. Pomimo wszystko nastąpiło jutro.

Zmusiła się, by ponownie zerknąć na zegarek. Nieruchome cyfry uparcie wskazywały siódmą. Czyżby to Conner nastawił budzik? Wiedział, że Terri odlatuje o dziesiątej, a więc niebawem się obudzi i zacznie szukać siostry. Jeśli Hilary się pospieszy, to zdąży jeszcze przemknąć do swojego pokoju, by

następnie wyłonić się, ziewając i przeciągając, niczym w sypialnianej farsie. W ten sposób ocali swoją reputację.

Puste łóżko i głośny dźwięk budzika zdawały się wskazywać, że takie rozwiązanie najbardziej mu odpowiada. Żadnych kłopotliwych konsekwencji. Usiadła, rozglądając się wokół. Wzrok jej padł na fotel stojący przy łóżku, które, jak dopiero teraz dostrzegła, było ciężkim, wykonanym z klonowego drewna łóżem z baldachimem. Na fotelu, w zasięgu ręki, leżała jej starannie ułożona garderoba.

Automatycznie spojrzała na podłogę, gdzie ostatniej nocy widniał niewyraźny zarys rzuconej przez Connera piżamy. Oczywiście już jej tam nie było. Rozsądnie, pomyślała. W pokoju panował nieskazitelny ład, wszystkie ślady miłosnej nocy starannie usunięto; rzeczy uporządkowano i złożono w kostkę lub ukryto w szafie.

Schwyciła swój szlafrok i wsunęła go przez głowę, równocześnie starając się zwalczyć uczucie rozgoryczenia. Kiedy mówił, że pragnie, by należała tylko do niego, nie miał przecież na myśli trwałego związku. Potraktował ją tak, jak się traktuje wypożyczoną z biblioteki książkę lub film z wypożyczalni kaset. Przyjemność na kilka godzin, potem rzecz zwraca się tam, skąd pochodzi, szybko i łatwo, nie płacąc żadnej kary.

A może chodziło o coś jeszcze gorszego? Może, będąc człowiekiem nawykłym do podporządkowywania sobie innych, pragnął odcisnąć ślad na jej ledwie rozpoczętym życiu erotycznym, tak by odtąd każdy akt miłosny przywoływał jego postać, kojarzył się z nim, z zapachem jesieni w górach...

No cóż, odniósł kolejny sukces. Wstała i znalazła się twarzą w twarz ze spoglądającą na nią z wysokiego lustra kobietą o wygasłym wzroku. Nie masz prawa do przygnębienia - mówiła, zwracając się do swego odbicia w zwierciadle. Niczego nie obiecywał. Ani tej nocy, ani nigdy przedtem.

Ale pozbawione wyrazu oczy wciąż zamykały się z wyczerpania i rozczarowania, a także z lęku. Nie zapominaj
 - powiedziała do lustra, głosem tak ostrym jak samo szkło
 - jeśli nawet sprawił ci ból, to jest to drobiazg w zestawieniu z cierpieniem, którego ty mu dziś przysporzysz.

Conner wpadł na spotkanie spóźniony o dwadzieścia minut. Gil obrzucił go spojrzeniem pełnym najwyższego oburzenia. Trzy lata, mówił wyraz jego twarzy, trzy lata pracowaliśmy nad tym kontraktem, a ty nie możesz przyjść punktualnie? Conner uniósł brwi i uśmiechnął się. Wyobraź sobie, że nie, odpowiadała jego mina, nie sprawiając bynajmniej wrażenia skruszonej.

- Przepraszam wszystkich - zwrócił się do obecnych, zajmując miejsce. - Czy coś opuściłem?

Sekretarka postawiła po jego prawej stronie parującą filiżankę kawy. Wiceprezes do spraw inwestycji położył projekty architektoniczne po jego lewej ręce, a Gil rzucił mu z hałasem oprawną w skórę księgę zawierającą umowy.

- Do diabła, dobrze wiesz, że niczego nie straciłeś - powiedział. - Przecież dopóki cię nie było, nie mogliśmy niczego ustalić. - Znacząco postukał w zegarek. Conner podejrzewał, że Gil stukał w ten sposób przez całe dwadzieścia minut. - Ci ze Smoczego Potoku będą tu za chwilę. Nie mamy wiele czasu na opracowanie strategii.

- Damy im tyle, ile zechcą. - Conner odchylił się w krzesle i stanowczo spojrzął na swojego radcę prawnego. - Takie negocjacje nie wymagają geniuszu.

Gil westchnął.

- Mówię ci, Con, możemy skłonić ich do zmiany klauzuli, dotyczącej drugiej części kontraktu. Jeśli uzbriemy się w cierpliwość, jeśli jeszcze godzinę będziemy odwlekać decyzję, to możemy zbić z ceny ze sto tysięcy dolarów.

- Nie chcę dłużej nad tym siedzieć - Conner odsunął projekty umowy. - Nie chcę wracać do drugiej części. I nie chcę stu tysięcy. Chcę to w końcu podpisać i jechać do domu.

- Con, sto ty...

- Zamknij się, Gil! - w głosie Connera brzmiała nuta rozdrażnienia. - Jesteś przemęczony. Czy się nie wyspałeś?

- Najwyraźniej nie tak dobrze jak ty - burknął Gil w swoją filiżankę z kawą.

Conner uśmiechnął się w odpowiedzi. W istocie w ogóle nie spał tej nocy, a w każdym razie nie spał od chwili, gdy Hilary przyszła do jego pokoju. Hilary... Boże, jaka cudowna była ta noc. Poczul, że wewnątrz niego wybucha gorący gejzer. Nigdy nie spotkał kobiety równie pięknej i równie wrażliwej. Jej ciało... Poczul mrowienie w dłoniach na wspomnienie jej ciepła, jej kształtów..

Nie, nie spał nawet chwili, ale to bez znaczenia. Trzymał ją w ramionach, aż zasnęła, a potem po prostu na nią patrzył, wyciągając czasem dłoń, by musnąć jej włosy, które przemieniły się w złoty płomień, gdy pokój zalało światło poranka, lub dotknąć jej ręki, wdzięcznie spoczywającej na piersi. To bardziej koilo niż sen. Nie mógł jej zostawić.

I dlatego właśnie spóźnił się na to cholerne spotkanie wyznaczone na godzinę ósmą rano. Gdyby chodziło o cokolwiek innego, niż kontrakt kupna Smoczego Potoku, odwołałby zebranie. Wczoraj jednak podjął ostateczną decyzję i natychmiast zwołał cały personel, który w przeciągu jednej nocy miał sfinalizować teksty niezbędnych umów. Z zaledwie dwudziestoczerogodzinnym wyprzedzeniem powiadomił wszystkich, że mają przełożyć wszelkie inne sprawy, by stawić się na to spotkanie. Nie mógł więc nie przyjść. Smoczy Potok miał zbyt wielkie znaczenie.

Tak przynajmniej uważał. Teraz jednak, gdy tu przybył, okazało się, że nic go to nie obchodzi. Cóż, jeszcze jedna nieruchomości, w gruncie rzeczy nie różniąca się wiele od

innych, należących do Amerykańskiego Towarzystwa Wypoczynkowego. Wpatrywał się w umowy, jak gdyby były to gryzmoły nakreślone ręką chciwego dziecka i przypominał sobie ze zdumieniem, że zaledwie tydzień temu był bez reszty owładnięty myślami o Smoczym Potoku. Wydawało mu się, że od tamtej pory upłynęła wieczność. Był wówczas kimś zupełnie innym, kimś niewiarygodnie głupim, nie pojmującym jeszcze, że człowiek jest o wiele ważniejszy niż pieniądze i transakcje.

Poczuł nagle dotkliwy żal. Z takiego powodu opuścić Hilary! Przebudzi się sama. Tymczasem powinni ze sobą porozmawiać. Powinni ustalić, jakie naprawdę znaczenie ma dla nich to, co wydarzyło się ostatniej nocy. I powinni znów się kochać.

Ale cóż, był teraz o godzinę jazdy od domu, a ona pewnie wstawała zerwana przez wściekły hałas budzika, by pomóc Terri w przygotowaniach do wyjazdu. Uśmiechnął się z rozkoszą, myśląc o tym, jak budzi się w jego łóżku, naga w jego pościeli, nasycona jego miłością.

Z trudem opanował przypływ pożądania, gdyż otworzyły się drzwi sali konferencyjnej i do środka wkroczyli właściciele Smoczego Potoku wraz ze świtą. Skoro już tu był, to powinien wreszcie zamknąć całą sprawę. Conner wstał i kolejno ścisnął dłonie właścicieli o znużonych twarzach oraz ich doradców prawnych o lodowatym spojrzeniu.

Jakąż miłą niespodzianką będzie dla nich to spotkanie! Wiedząc na kogo trafili, oczekiwali zapewne przeciągających się manewrów, kroków w przód i w tył, ustępstw i żądań. Tymczasem on gotów był natychmiast podpisać wszystko, czego oczekiwano. Nawet gdyby miało go to kosztować życie. Wszystko, byleby tylko szybko wracać do domu, do Hilary.

Podpisał. Ignorując bolesne spojrzenia Gila, podpisał wszystko bez słowa sprzeciwu. A tak się spieszył, że jego podpis był prawie nieczytelny.

Mimo wszystko jednak zdawało mu się, że trwa to wieczność. Ostatnie dokumenty, które definitywnie przekazywały mu

prawo własności, podpisał o dziewiątej trzydzieści. Patrząc na nie, zastanawiał się teraz, czemu to wszystko nagle stało mu się całkowicie obojętne. Wtem w drzwiach pojawiła się jego sekretarka. Sprawiała wrażenie bardzo zmartwionej. Przywołał ją ruchem ręki.

- Dzwoniła pani St. George - wyszeptała mu do ucha tonem, w którym przerażenie mieszało się ze współczuciem. - To poważna sprawa. Twierdzi, że zaczyna rodzić.

Spojrzała na Connera zwilgotniałymi oczami.

- Och, proszę pana - spytała, splatając dłonie - czy to nie za szybko? Czy dziecko nie urodzi się przedwcześnie?

Conner już stał, serce podeszło mu do gardła.

- Nie! - usłyszał własny głos. - Wszystko jest w porządku. Wszystko będzie dobrze. - Tak, to słowa Hilary, kojące, łagodne słowa z wczoraj. - Wszystko będzie dobrze - powtórzył, ale w jego ustach ta sama formuła pozbawiona była magicznej siły oddziaływania.

A to dlatego - uświadomił sobie, przekazując sekretarce polecenia i przepaszając obecnych - że owa magiczna siła nie kryła się w słowach, lecz w tym, kto je wypowiadał. W samej Hilary.

Och Hilary! Potrzebował jej aż do bólu. Właśnie teraz. Żadne skarby świata nie mogły pomóc ani jemu, ani dziecku Tommy'ego. Tylko ona. Tylko w niej znajdowali oparcie wszyscy, którzy ją znali. Tylko w Hilary, której delikatne ciało i kojący głos wypełnił wreszcie ciemną pustkę w jego sercu. Ona jedna mogła mu pomóc, gdy przychodzi stawić czoło temu, co się stanie.

I wtedy właśnie, kiedy ścigany śmiertelną trwogą biegł do samochodu, by następnie w zawrotnym tempie zjeżdżać z góry do miejskiego szpitala w Richmond, uświadomił sobie prawdę. Kochał Hilary Fairfax.

Conner, muszę ci coś powiedzieć. Chodzi o dziecko Marlene. To nie jest dziecko twojego brata.

Nie, nie, nie w ten sposób. Zabije Marlene i dziecko, jeśli w ten sposób ciśnie mu prawdę w twarz.

Conner, wiesz, że Marlene uciekła z domu miesiąc przed poznaniem Tommy'ego. To był dla niej bardzo trudny okres, czuła się bardzo samotna, bardzo przerażona...

Na miłość boską, mniej patosu! Gdy dowie się prawdy, samotność Marlene nic go nie będzie obchodzić.

Conner, spróbuj zrozumieć, nie bądź taki okrutny dla Marlene...

Wykluczone! Zbyt poniżające. Taka żebranina może wzbudzić w nim tylko wstręt.

Hilary uderzyła pięścią w kierownicę, zła na siebie za tę głupią szamotaninę. Nie ma sposobu, by osłodzić wiadomość taką jak ta. Żadne słowa nie uczynią prawdy łatwiejszą do zniesienia. Sytuacja Marlene była beznadziejna, a mimo to Hilary, wracając z lotniska do domu, usiłowała znaleźć jakieś argumenty, świadczące na jej korzyść. Oczywiście mogła skorzystać ze sposobu najbardziej tchórzliwego ze wszystkich, który wciąż się nasuwał, choć starała się o nim zapomnieć.

Conner, musisz mi uwierzyć. Naprawdę nie wiedziałam, próbowała się ocalić. Jak gdyby mógł jej uwierzyć. I jakby to cokolwiek zmieniało, gdyby uwierzył.

Jechała bardzo wolno, niechętnie wracała do domu. Była już niemal pierwsza. Samolot Terri wystartował z opóźnieniem, zjadły więc wczesny lunch podczas oczekiwania na lotnisku. Marlenę, która zapewne poczuła się znudzona i opuszczona, czeka na nią teraz z wymówkami. Hilary jęknęła. Tak, Marlenę jest rzeczywiście rozpuszczona. Jak Conner zdołał tolerować jej wybryki przez te wszystkie miesiące? Poczuła zawrót głowy na myśl o tym, z jaką ulgą wyrzuci je obie z domu.

Ostatniej nocy przymrozek огоłocił większość drzew z liści, toteż górskie zbocza wydawały się dziwacznie nagie. Drogi pozbawione swojego olśniewającego czerwono--żółtego przybrania tak się zmieniły, że Hilary, pochłonięta ponurymi

myślami, dwukrotnie zmyliła kierunek. A może grała na zwłokę, opóźniając moment, w którym oznajmi Marlenę, co zamierza zrobić?

Gdy tylko wjechała na podjazd, wiedziała, że stało się coś złego. Dom sprawiał wrażenie opustoszałego. Tak jakby utracił duszę. Serce podskoczyło jej do gardła, ale szybko się opanowała. To zaledwie gra świateł, to tylko zaskoczenie, że widzi je teraz, gdy płomienna jesień wokół już zgasła.

I wtedy ujrzała Janie, która wybiegła na najniższy taras. Zmagając się z chłodem, ciasno zaplotła ręce na piersi. Gdy Hilary podjechała bliżej, dostrzegła, że twarz gospodyni ściągnięta jest strachem.

- Panno Fairfax! - zawołała Janie, niezdarnie zbiegając po schodach, co utrudniały jej zreumatyzowane kolana. Hilary nawet nie wyłączyła silnika, czując, że nie będzie mogła tu zostać. - Och, panno Fairfax, musi pani natychmiast jechać do szpitala! - Janie ciężko dyszała, z trudem wyrzucając słowa. - Pani St. George zaczęła rodzić, kiedy pani nie było. To straszne. Bóle powtarzały się co parę minut, a ona krzyczała.

Kobieta dotknęła ramienia Hilary.

- Proszę się spieszyć. Od kilku godzin jest w szpitalu. Bardzo potrzebuje pani pomocy.

Krew odpłynęła Hilary z twarzy. Ledwie poruszała wargami.

- Jak tam dojechała?

- Taksówką. Nie było tu nikogo, kto mógłby ją odwieźć. Pani była na lotnisku, a pan St. George w swoim biurze w Richmond, o godzinę drogi stąd. Próbowaliśmy wezwać panią z lotniska. Czy nic pani nie słyszała?

Hilary potrząsnęła głową. Nie, nie słyszała. Z hali odlotów przeszły z Terri do restauracji na lunch.

- A co z Connerem? - spytała, niemal sparaliżowana. Tak bała się tego, co usłyszy. - Czy już wie?

- Tak, już tam jest. Ale nie może nic zrobić. Ona się go boi. Chce zobaczyć tylko panią. - Mocno ścisnęła rękę Hilary. - Proszę, niech się pani pośpieszy.

Nie musiała powtarzać. Hilary pędziła w dół, pokonując górskie zakręty, jakby to robiła przez całe życie. Nie było czasu na obawy ani na zbytnią ostrożność. Wbijała wzrok w wijący się przed maską asfalt, usiłując nie myśleć o konsekwencjach tego przedwczesnego porodu. Nie chciała również myśleć o tym, jak trudno będzie wyznać Connerowi prawdę, tym trudniej, jeśli widział już dziecko, jeśli uwierzył, że to dziecko brata, krew z jego krwi i kość z jego kości.

A jeśli się spóźni? Jeśli dziecko już się urodziło?

Wcisnęła mocniej pedał gazu. Musi tam dojechać, zanim się to stanie. Nie może dopuścić, by wziął dziecko w ramiona, by je przytulił, szukając na jego buzi śladu podobieństwa do brata.

Niepokoilią się o Marlenę, lecz serce jej z rozpaczą wzywało imię St. George'a. To ono zdawało się rozbrzmiewać pełnym skargi echem wśród falujących, okrytych szronem górskich stoków. O Conner, Conner, jak mogliśmy tak cię skrzywdzić!

Pielęgniarka powitała ją uśmiechem. Dziecko urodziło się przed godziną. Dziewczynka, filigranowa dziewczynka. Waży zaledwie trzy kilogramy, ale jest śliczna. Wszystko będzie dobrze. Pani St. George też czuje się dobrze. Poród był niewiarygodnie lekki. Trwał niecałe cztery godziny. Pan St. George jest teraz u niej. Czy pani jest krewną? Ach tak, kuzynka. Jak miło! Czy chce pani zobaczyć dziecko? Oddział noworodków jest przy końcu korytarza, w lewo, a potem w prawo.

Hilary czuła, jak jej stopy pokonują dystans korytarza, jedna, potem druga. Nie miała pełnej świadomości tego, co robi. W lewo, potem w prawo. To już niedaleko. Gdzieś tam, za wielką szklaną ścianą, śpi dziecko Marlenę, a jego małe serduszko tyka jak bomba zegarowa.

W lewo, potem w prawo... Oddział noworodków... Rodziny z niecierpliwością i dumą przeszukiwały wzrokiem łóżeczka, pragnąc ujrzeć wreszcie dziecko, na które tak długo czekały. W przeciwieństwie do nich Hilary wolno unosiła w górę wzrok. I choć było to oznaką tchórzostwa, nie chciała zobaczyć dziecka, jakby jego istnienie miało stać się faktem dopiero wtedy, gdy je zobaczy.

Dostrzegła Connera natychmiast, choć stał zwrócony do niej plecami. Tak, to były te same piękne, szerokie plecy, które dobrze już teraz знаła. Miał na sobie szary garnitur, jaki nosili biznesmeni z racji urzędowych okazji, znakomicie dobrany do siwizny srebrzącej jego skronie. Zachwiała się i oparła o ścianę, by utrzymać równowagę. Conner...

Stał nieco odsunięty od innych. Nie patrzył na salę, w której leżały noworodki, lecz na połączony z nią pokój, gdzie w inkubatorach, w świetle ultrafioletu, umieszczono kilkoro nagich niemowląt z wielkimi, okrągłymi osłonami na oczach.

Dlaczego, dlaczego tam patrzył? Te dzieci były chore. Przecież pielęgniarka powiedziała przed chwilą, że dziecku Marlenę nic nie grozi. Hilary otwierała już usta, by go zawołać, ale ściśnięte gardło nie pozwalało jej dobyć słowa.

Wówczas jednak, jakby ją słysząc, Conner odwrócił się, a ona poczuła, że uginają się pod nią kolana. I choć poznałaby go wszędzie, ujrzała przed sobą twarz zupełnie obcą - kamienną maskę, lodowatą, surową, pozbawioną ludzkiego wyrazu. A jego oczy... Kolana tak jej drżały, jakby za chwilę miały się ugiąć. To nie były oczy, lecz pociski. Pociski w nią wymierzone.

- Hilary... - Nigdy przedtem jej imię nie brzmiało tak groźnie.
- Przyszłaś zobaczyć dziecko?

Przytaknęła, nie próbując się nawet odezwać. Przeraziły ją te oczy. Co się dzieje z dzieckiem? Dlaczego Conner wygląda tak odmiennie, ma taką bolesną twarz?

- Podejdz więc tutaj - to brzmiało jak rozkaz. - Pokażę ci je.

Posłuchała, a gdy znalazła się odpowiednio blisko, ujął jej ramię w swoje żelazne palce i pchnął ją w kierunku szyby.

- Tam. Drugi inkubator.

Hilary wydała urwany okrzyk z bólu, jaki sprawiał jej uścisk jego palców, i emocji na widok dziecka Marlenę.

Niemowlę było malutkie i budziło litość. Leżało w świetle inkubatora bezradnie przebierając nóżkami i rączkami, piszcząc jak chore kocię. Oślepienie przez wielkie, ciemne osłony na oczach, łapało powietrze, jakby chciało złapać coś, czego nie było. Hilary poczuła, że za chwilę pęknie jej serce.

- Co jej jest? - spytała drżącym głosem. - Dlaczego leży tutaj?

- Och, nic poważnego - odparł Conner z udawaną pogodą. Sprawiał wrażenie człowieka bliskiego szaleństwa.

Chyba przebrała się miara, pomyślała Hilary. Nic dziwnego, przez wiele miesięcy, od śmierci brata, od chwili, w której koszmary odebrały mu sen, żył na krawędzi wytrzymałości.

- Jest tylko mały problem - powiedział z tym samym nienaturalnym spokojem. - A mianowicie niezgodność grup krwi - AB i grupy zerowej. Powiedziano mi, że promienie ultrafioletowe przywrócą wszystko do normy.

Chciała odwrócić się, by na niego spojrzeć, ale żelazny uścisk jego ręki zmuszał ją do patrzenia przed siebie, tam gdzie leżało dziecko.

- Co to jest niezgodność grupy AB i zerowej? - spytała apatycznie, prawie nie czując bólu ramienia. Pragnęła, by i reszta jej ciała przestała cokolwiek odczuwać.

- Och, to dość prosty do rozwiązania problem związany z grupą krwi.

Hilary powinna była odczuć ulgę, ale tak się nie stało. Conner nie zwolnił uścisku, a w jego głosie pobrzmiwał jakiś ton okrucieństwa, ton prześladowcy, który właśnie upatrzył sobie ofiarę dla szczególnie bolesnego żartu.

- No więc... - jąkała - co się dzieje? Co takiego dzieje się z... - chciała dodać „z tobą”, ale nie miała odwagi. Urwała. Zdanie pozostało nie dokończone.

- Cóż - powiedział wolno, jakby wciąż jeszcze rozważał sprawę - wyłania się pytanie dotyczące owej grupy zerowej, ponieważ zarówno Tommy, jak i Marlenę mieli zawsze grupę AB...

Hilary z trudem łapała oddech. Widziała teraz w szybie odbicie uśmiechu Connera, uśmiechu przerażającego i ponurego.

- O tak - ciągnął - to wymaga pewnych wyjaśnień. A mianowicie, skąd u dziecka wzięła się owa zadziwiająca grupa zerowa?

- Conner... - zaczęła, ustami suchymi jak papier, a jej nogi zmiękły niczym wosk. - Conner, proszę... - zamknęła oczy, usiłując zebrać myśli. Ale równie dobrze mogłaby zbierać spienioną wodę Ognistych Wodospadów. - Conner... - powtórzyła - czy rozmawiałaś z Marlenę?

- A jakże - odparł lekkim tonem. Ale był to ton jadowity. Zapowiadał nadciągające niebezpieczeństwo. Krył w sobie cichą furię. - Zadałem to pytanie Marlenę. I wiesz, co odpowiedziała?

- Co? - spytała, wstrzymując dech.

Jego zwodnicza maska opadła na dobre, ujawniając kipiący w nim gniew. Szorstkim ruchem obrócił Hilary ku sobie, przyciskając ją plecami do szyby.

- Powiedziała, żebyś zapytał ciebie.

Boże! W jego oczach otwierała się czarna czeluść, a jej zdawało się, że w nią wpada. Zresztą pragnęła tego. Woląла umrzeć teraz, w jego pogardliwym uścisku, niż stawić czoło temu, co nastąpi za kilka minut.

- Powiedziała, że wiesz wszystko i że wszystko mi wyjaśnisz. - Wbił palce w jej ramię, niemal łamiąc jej kości. - A więc czekam, Hilary - powiedział głosem, który brzmiał jak wyrok śmierci. - Czekam.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wszystkie oczy skupiły się na nich. Takie sceny nieczęsto zdarzają się w tym miejscu, pomyślała niemądrze Hilary. Każdy z obecnych w promieniu kilkudziesięciu metrów musiał dostrzec gniew Connera.

- Nie tutaj - wyszeptała. - Nie przy tych ludziach.

- Doskonale.

Oderwał ją od ściany i z udawaną rycerskością położył rękę na jej ramieniu, prowadząc przez korytarz. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, choć raz czy dwa z jej ust wyrwał się odgłos ni to jęku, ni to płaczu. Conner jednak nie okazywał, że cokolwiek usłyszał.

Wsiedli do windy w towarzystwie hałaśliwej pięcioosobowej rodziny. Hilary była jednak szczęśliwa, że śmiech dzieci wypełnia dzielącą ich lodowatą ciszę. Gdy wysiedli, Conner ruszył przed siebie długimi, szybkimi krokami. Z trudem mogła za nim nadążyć. W końcu stanął przed poczekalnią izby przyjęć.

Instynktownie się wzdrygnęła.

- Tutaj?

- Czemu nie? - Ogarnął wzrokiem pokój. - W tym tłumie nasz mały melodramat nie zwróci niczyjej uwagi, nie uważasz?

Hilary patrzyła na płaczące, ranne dzieci, na blade jak ściana twarze kobiet towarzyszących chorym na serce mężom o sinych policzkach, na udęczone życiem twarze starych ludzi na wózkach inwalidzkich. Tak, Conner miał słusność. W pewnym sensie tu było ich miejsce - wśród okaleczonych, cierpiących.

- Dobrze - powiedziała, zbyt zmęczona, by oponować. W rogu sali dostrzegła dwa wolne krzesła. Było to zresztą jedyne miejsce, do którego nie docierał obraz telewizyjny. - Może tutaj?

Gdy w końcu usiedli, nie potrafiła zacząć. Patrzyła tylko na Connera, pragnąc odnaleźć pod pokładami gniewu mężczyznę, z którym wczorajszej nocy łączyła ją miłość. Ale ten mężczyzna

zniknął. Zniknął na zawsze odegnany kłamstwem, które przeraźliwy egoizm poddyktował Marlenę.

- Conner - zaczęła, z trudem przełykając ślinę po zaledwie pierwszym słowie. - Tak bardzo mi przyk...

- Czyje to dziecko?

Jego ostre jak brzytwa słowa natychmiast trafiły w sedno sprawy, udaremniając przewlekłe wyjaśnienia czy niezdarne przeprosiny, do których mogłaby się uciekać.

- Nie wiem - odparła, a gdy na jego twarzy pojawił się cyniczny wyraz niedowierzania, zaczęła pośpiesznie wyjaśniać:

- Naprawdę nie wiem. Nigdy nie widziałam tego mężczyzny. Tuż po ucieczce z domu Marlenę wdała się w krótkotrwały związek z mężczyzną, którego nazwiska nigdy nie ujawniła. Zerwał z nią, nim zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży.

Nerwowo splatała dłonie na kolanach, rzucając mu krótkie spojrzenia.

- Była przerażona, gdy okazało się, że jest w ciąży. Pracowała jako kelnerka i z trudem zarabiała na siebie, co dopiero mówić o dziecku.

Z irytacją machnęła ręką.

- Daruj sobie. Znam na pamięć te rzewne bajeczki. Zrobiła się purpurowa i znów opuściła wzrok na swoje dłonie. Czemu jego reakcje tak bardzo ją bolały? Przewidywała przecież, że wykaże zupełną obojętność na sytuację Marlene. Cóż... dobrze. Powie krótko, nie odwołując się do jego współczucia.

- No więc potem spotkała Tommy'ego. Mówi, że zakochali się w sobie od pierwszej chwili. Gdy mu powiedziała, że spodziewa się dziecka, zaproponował jej małżeństwo. Pragnał pomóc.

Conner parsknął szyderczym śmiechem.

- Pomóc?! - powtórzył z jadowitym sarkazmem. - Daj spokój, Hilary. Nie przypuszczasz chyba, że dam się na to nabrać. Mój młodszy brat był naiwny i z pewnością łatwo mógł paść łupem pięknej blondynki, nie był jednak pełnym głupcem!

Starala się nie okazywać swojej reakcji, choć jego ton ranił ją jak stalowe ostrze.

- Nie, Conner, on nie był głupcem. Był dobrym, wielkodusznym człowiekiem. Zamierzał uznać to dziecko za własne. Marlene mówi, że był idealistą, zawsze gotowym wspierać innych...

- Marlene mówi? - znów parsknął śmiechem, który tym razem przypominał warknięcie. - Marlene mówi? A my mamy wierzyć jej słowom. Przecież Marlene nigdy nie kłamie, prawda? - przeciągnął dłonią po włosach. - Wielki Boże, Hilary, czyżbyś uwierzyła w ten cuchnący stek bzdur, który twoja kuzynka podaje za prawdę? - Pochylił się do przodu i utkwiał w niej wzrok. Jego spojrzenie lśniło lodowatym blaskiem granitu. - A może i ty jesteś kłamcą?

Wytrzymała jego wzrok wiedząc, że powinna uciekać. Ta rozmowa nie miała sensu. Nie obchodziła go prawda. Rozczarowanie i nienawiść zatrwały jego myśli. Pragnął jedynie odwetu. Chciał zranić ją tak, jak sam został zraniony. I choć miałby do tego prawo, nie zamierzała mu na to pozwolić. Nie dzisiaj. I nie jemu.

- Kłamstwo czy głupota? Niewielki wybór, prawda? - Stała wyprostowana, chłodno patrząc mu w oczy. - Cóż zresztą za różnica! Znasz teraz prawdę. Plany Marlenę zawiodły. Rozumiem, że nie chcesz widzieć nas w swoim domu, więc wyjedziemy, gdy tylko będzie to możliwe.

Wypowiadając te słowa, uświadomiła sobie jednak, że wciąż jeszcze liczy na jego sprzeciw, na to, że fala rozgoryczenia opadnie i poprosi ją, by została.

Głupie marzenia!

Bez wahania skinął głową.

- Wyjeżdżam teraz na dwa tygodnie. W tym czasie Marlenę powinna odzyskać siły. Chciałbym, żebyście obie opuściły mój dom, zanim wrócę.

A więc było po wszystkim. Wszystko obróciło się w popiół i leżało u jej stóp. Odwróciła się, usiłując dojrzeć drzwi. Piekły ją oczy. Oślepiały łzy. Wiedziała, że teraz należy odejść. Ale wciąż się jeszcze wahała. Było jeszcze coś, co koniecznie chciała mu powiedzieć, choć czuła, że to nic nie zmieni.

- Nie wiedziałam - zaczęła, a głos jej drżał jak ostatni jesienny liść na zimowym wietrze. - Miałam ci to właśnie powiedzieć. Usłyszałam o tym dopiero wczoraj. Wczoraj wieczorem. - Nie mogła dalej mówić. Łzy coraz gęściej napływały jej do oczu.

- Wczoraj wieczorem? - uniósł brwi z wyrazem zaskoczenia i zdziwienia. - Bardzo ciekawe. Zaraz... czy zanim przyszłaś do mojego pokoju, czy już potem?

Zakrzuszyła się, hamowany płacz dławiał ją w gardle ponad wszelką wytrzymałość.

- Zanim - powiedziała, czując gorycz tej prawdy. Twarz ściągnęła mu się jeszcze bardziej, choć zdawało się, że jest już napięta do granic możliwości. - Zanim do ciebie przyszłam.

- Rozumiem - powiedział, przechylając głowę na bok. - A więc i ta scena była kłamstwem. Dobrze zagrane. Muszę wyznać, że zachowanie pań Fairfax wykazuje zadziwiającą harmonię.

Niech go diabli! Okręciła się, chcąc go uderzyć w twarz, stracić te podłe słowa z jego okrutnych ust. Patrzył zmrużonymi oczyma, jak jej ręka podnosi się, cofa i zastyga w powietrzu. Nie próbował nawet jej powstrzymać. Wydawało się, że czeka na bolesną karę.

I wówczas poczuła niezrozumiały skurcz serca. Nigdy dotąd nie widziała tak bezlitosnego okrucieństwa i tak bezbrzeżnego cierpienia, takiej nienawiści i takiej samoudręki, zmieszanych w jedną bolesną całość. Może to była głupota, ale nie potrafiła go nienawidzić bez względu na to, jak bardzo nią gardził. Kochała tego zagubionego, gniewnego mężczyznę i wiedziała, że nigdy kochać go nie przestanie.

- Tak mi przykro - powiedziała złamanym głosem, a jej ręka opadła. - Bardzo, bardzo przykro.

Gdy się obracała, wstrząsnął nią cichy szloch, modliła się, by nogi doniosły ją do drzwi. Zatrzymał ją głos zaprawiony palącą goryczą, którą poznała już wcześniej.

- Jeszcze jedno, Hilary. Jeśli nagle okaże się, że jesteś w ciąży, nie fatyguj się, nie telefonuj do mnie. Nie jestem nawet w części tak naiwny i łatwowierny, jak mój brat.

Marlenę wróciła do domu z dzieckiem trzy dni później, tego samego dnia, w którym Hilary stwierdziła, że Conner nie ma powodów do obaw. Nie była w ciąży.

Powinna się z tego cieszyć, ale od chwili, gdy opuściła poczekalnię izby przyjęć, nie odczuwała żadnych emocji. Świadomość, że nie oczekuje dziecka, które stale przypominałoby jej tę jedną noc, kiedy to zapomniała o wszelkiej ostrożności, spotęgowała jedynie uczucie pustki i bezsensu.

A życie toczyło się dalej. Bo musiało się toczyć. Dziecko Marlenę było śliczne i pomimo początkowych komplikacji znakomicie się rozwijało. Dziewczynce nadano imię Laura. Imię to wybrały z kalendarza, gdyż Marlenę nie poczuwała się do żadnych związków z własną rodziną, a sytuacja nie uprawniała jej do nadania dziecku imienia używanego w rodzinie St. George'a. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Laura była właściwym imieniem dla tej małej dziewczynki. Dziecko nie przysparzało żadnych kłopotów. Janie robiła wokół niego mnóstwo zamieszania, ale Marlenę, zważywszy na jej sytuację, całkiem dobrze dawała sobie radę. Możliwe nawet, zastanawiała się Hilary, że macierzyństwo, bardziej niż inne doświadczenia, nauczy Marlenę dojrzałości.

Gil bywał u nich codziennie, robił sprawunki, zmieniał pieluchy, żartował. Hilary była mu za to bardzo wdzięczna. Wiedziała, że w ten sposób może się on narazić Connerowi. Ale Gil wydawał się tym nie przejmować. Szkoda, że za kilka dni

wyjeżdżały na Florydę. Pewnie, gdyby czas na to pozwolił, pomiędzy Gilem i Marlenę nawiązałyby się głębsza sympatia...

Hilary otrząsnęła się - dość tych marzeń. Teraz trzeba mieć zdwojone poczucie rzeczywistości. Wspólnie z Marlenę do późna w nocy omawiały projekty adaptacji domu Hilary. Który pokój ma być pokojem dzieciennym? W którym zamieszka Marlenę? Nastrój młodej matki ulegał stopniowej poprawie, zaczynała wierzyć, że zdoła przetrwać bez pieniędzy St. George'a. W najtrudniejszych chwilach wspierała je słodka niewinność małej Laury. Gdy Laura ukończyła dziesięć dni i stała się sporym, silnym niemowlęciem, były już gotowe do wyjazdu. Marlenę kończyła pakowanie, a Hilary wyruszyła do miasta, by zatankować benzynę w wypożyczonym samochodzie. Jechali nim aż na Florydę i chcieli uniknąć przymusowego postoju na drodze.

Gdy zjeżdżała krętą drogą w dół, tyłem do baśniowego domu Connera, wiedziała, że będzie tęsknić za tymi górami, za Smoczym Potokiem, który wił się u ich podnóża i za diabelską mocą Ognistych Wodospadów, która wybuchała grzmiącą kaskadą. W zestawieniu z tym wszystkim Floryda będzie bardzo nudna.

Tak jak i jej życie.

Po raz pierwszy od dziesięciu dni ból przebił się przez pokłady apatii, za którymi próbowała się ukryć. To nie Smoczego Potoku będzie jej brak, lecz jego właściciela. Czy wciąż krzyczy po nocach? Ścisnęła kierownicę tak mocno, że ta aż skrzypnęła. Czyj miękki głos go ukoi, gdy znów zacznie wołać, osaczony przez koszmary?

Nie jej. Już nigdy... Zamrugła, próbując powstrzymać łzy. Zapomnij o nim, Hilary. Nigdy go już więcej nie zobaczysz. Myliła się jednak. Gdy weszła do domu frontowymi drzwiami, dźwigając torbę pełną pieluch, był już tam.

Zamarła. Próbowwała przyjąć do świadomości to, co przed sobą widziała, ale jej świadomość nie potrafiła tego zarejestrować, uparcie powtarzając: To niemożliwe, to niemożliwe.

A jednak nie uległa halucynacjom. Gdyby był projekcją jej rozpaczliwych pragnień, w jego oczach widziałaby miłość i przebaczenie. Podbiegłby do niej i zamknął ją w objęciach. Przecież takie miała sny. Noc w noc.

Ale scena, którą ujrzała, nie była sceną z jej snu. Conner stał sztywny przed zimnym kominkiem. Miał wyczerpaną, pozbawioną wyrazu twarz i zapadnięte policzki, a jego oczy sprawiały wrażenie dwu płamienia pod zmierzwionymi brwiami. Nie wybiegł na jej spotkanie. Przeciwnie, nawet na nią nie spojrzął. Patrzył na Marlenę, która stała za fotelem w niezręcznej pozycji, podtrzymując ramieniem małą Laurę. Jedną ręką osłaniała nerwowo główkę dziecka, jakby w obawie, że Conner zechce jej je wyrwać.

Hilary w gwałtownym przypływie instynktu opiekuńczego chciała osłonić Marlenę przed oskarżeniami Connera. Była jednak świadoma, że kuzynka zasłużyła na nie. Powinna w końcu zrozumieć, ile bólu przysporzyły jej kłamstwa. Jeśli nadal będzie ją chronić przed wszystkimi konsekwencjami jej postępowania, Marlenę nigdy nie wydorosłeje. I choć nie było to łatwe, Hilary uznała, że powinna zostawić tych dwoje, by sami z sobą załatwili swoje sprawy. Na drżących nogach weszła do środka.

- Cześć, Conner - rzuciła, usiłując panować nad głosem, by ten nie zdradził miotających ją uczuć.

- Cześć, Hilary. - Jego głos był tak chłodny i tak beznamiętny, jak generowane przez komputery głosy w systemach telefonicznych. Ale był to jego głos, a ona wciąż pamiętała brzmiącą w nim żarliwość, namiętną pasję.

Jej nogi znów zaczęły drżeć. Dość, rozkazała sobie. Przestań się zadreć.

- Nie przypuszczaliśmy, że wrócisz wcześniej - zaczęła, by uprzędzić pretensje. Dał im dwa tygodnie, tymczasem wrócił po dziesięciu dniach. A już sądziła, że zdołają w spokoju opuścić ten dom. Przed jego powrotem. - Zaraz wyjeżdżamy, musimy tylko załadować rzeczy do samochodu. - Zanim zdążył jej odpowiedzieć, zwróciła się do kuzynki: - Marlenę, kochanie, idę na górę spakować to, co jeszcze zostało.

- Hilary! - w okrzyku Marlenę brzmiał wyrzut.

Nie mogła uwierzyć, że kuzynka w takiej chwili może zostawić ją samą. Tymczasem Hilary zignorowała jej wołanie i skierowała się w stronę schodów. Najwyższy czas, by Marlenę stanęła twarzą w twarz z Connerem i uświadomiła sobie, jaką wyrządziła mu krzywdę.

Ruszyła do swojego pokoju, lecz gdy tam dotarła, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Osunęła się na krzesło, zapominając o tym, że wciąż trzyma torbę ze sprawunkami. Wpatrywała się przez okno w nagie drzewa. Usiłowała pohamować drzenie.

Czy to aby nie hipokryzja - pytał wewnętrzny głos - żądać od Marlenę, by stawiała czoło trudnym sytuacjom, a samej przed nimi uciekać? Bo czyż nie ukryła się tutaj, pragnąc uniknąć ponownej z nim rozmowy? Nie chcąc słyszeć tego, co Conner o niej myśli?

Może tak, przyznała ze znużeniem, ale, tłumaczyła się przed sobą, całą jej odporność pochłonał wysiłek, by się nie załamać, by znieść to, co się wydarzyło, i próbować żyć dalej, patrząc w przyszłość, w której nie będzie Connera.

Oparła wyciągniętą rękę o framugę okna i przytuliła do niej policzek. Mimo popołudniowej pory słońce świeciło słabym blaskiem. Szron pokrywał brzegi potoku lodowymi kryształkami, w powietrzu unosiła się błękitna mgielka, a drzewa przybierały na tle nieba postać skomplikowanej w rysunku pajęczyny. Widok sprawiał przygnębiające wrażenie, choć usiłowała sobie powtarzać, że jeśli drzewa przetrwają

zimę, to wiosną znów się odrodzą. Tak, jeśli przetrwają...
 Wcisnęła głowę w ramię, nie chcąc dłużej patrzeć na smętny widok za oknem. Zamknęła oczy, nieświadoma upływającego czasu. Nie wiedziała, jak długo to trwało, ale zapewne długo. Potem usłyszała trzask drzwiczek zamykanego samochodu, a następnie odgłos silnika, który stopniowo cichł, w miarę jak samochód oddalał się od domu.

Odjechał. Uniknęła konfrontacji. Jednocześnie ogarnęło ją poczucie ulgi i rozpacz. Gdy Marlenę zapukała do drzwi, nie miała siły, by wstać.

- Wejdz - powiedziała stłumionym głosem, nie unosząc głowy wciśniętej w ramię.

Drzwi otworzyły się niemal bezgłośnie. W domu Connera St. George nie było skrzypiących zawiasów. Jedynie miękki szmer oznajmił, że Marlenę weszła.

- Czy wyjechał? - spytała Hilary, nie podnosząc twarzy.

Miała mokre policzki. Zaraz je otrze. Zapewne Marlenę znów potrzebuje silnego ramienia, by się na nim wyplakać... Należy więc zebrać siły.

- Nie, nie wyjechał.

Hilary aż podskoczyła, gwałtownie okręcając się na krześle. Serce waliło jej w tempie przyprawiającym o zawrót głowy. To nie Marlenę cicho weszła do pokoju. To Conner.

- Myślałam, że wyjechałeś - powiedziała, czując że wokół niej wszystko wiruje. - Słyszałam samochód...

Spojrzał na nią swymi zmęczonymi, zasnutymi cieniem oczyma.

- To Marlenę. Czy sądzisz, że mógłbym odjechać bez słowa?

Oczywiście, że nie, pomyślała, instynktownie kuląc ramiona. Jakaż była naiwna, sądząc, że to możliwe. Nie wystarczyła mu widać rozprawa z Marlenę. Hilary również miała dostać za swoje.

- No tak... A więc, co masz do powiedzenia? Milcząc wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Nie

patrzył na nią. Stanął przy oknie, niedaleko niej, i wpatrywał się w ponure, błękitnospine powietrze.

- Słucham - powiedziała gniewnym tonem. - Musimy zaraz wyruszać. Mów, co masz do powiedzenia, i pozwól mi wyjechać.

Ale jej gniew nie wywarł na nim wrażenia. Nawet na nią nie spojrzał.

- Chciałbym opowiedzieć ci mój sen - odezwał się w końcu drewnianym głosem.

Opowiedzieć sen? Przeszył ją gwałtowny skurcz. A więc nie zamierzał uciekać się do ostrych słów. Postanowił ukazać wielkość grzechu Marlenę, mówiąc o swoim cierpieniu. Szatański pomysł! Nagle poczuła, że nie wie, czy zdoła to wytrzymać.

A przecież musiała. Za wszelką cenę chciała się dowiedzieć, nawet gdyby serce miało pęknąć jej z bólu. Chciała zrozumieć wszystko, co go dotyczyło, bez względu na to, jak bardzo byłoby to dla niej bolesne.

- Dobrze - powtórzyła, zaciskając dłonie. - Słucham. Milczał przez kilka sekund, potem głęboko wciągnął powietrze i zaczął:

- Śni mi się Tommy - powiedział. - Ale przecież wiesz o tym.

Skinęła głową, świadoma, że Conner próbuje zyskać na czasie. Widać niełatwo było mu powiedzieć to, co chciał.

- Nigdy naprawdę nie rozumiałem mojego brata. - Jego głos brzmiał niemal obojętnie, jak gdyby opowiadał dziecku przed zaśnięciem zmyśloną historyjkę. Być może tylko w ten sposób mógł w ogóle o tym mówić. - Był odmienny od nas wszystkich, taki nieśmiały, idealistycznie patrzył na życie. Jedyne nasza matka akceptowała go takim, jakim był. Myślę, że zdawała sobie sprawę, że ma prawdziwy talent malarski. Pragnęła szkolić go w tym kierunku, ale ojciec nawet nie chciał o tym słyszeć.

Potrząsnął głową wspominając.

- Nie wiem, dlaczego ojciec był tak nieugięty. Może przejął to nastawienie od swojego ojca. Mój wuj też nie mógł rozwinąć zdolności artystycznych. Od pokoleń każdy członek rodziny St. George'ów musiał zajmować się wyłącznie interesami - roześmiał się, ale natychmiast urwał. - Byłem jeszcze jednym człowiekiem interesu, który zgodnie z rodzinną tradycją tępił wszelkie objawy niewłaściwych zainteresowań. - Nacisnął palcami wskazującymi miejsce u nasady brwi. - I, Boże odpuść, sądziłem, że postępuję słusznie.

Hilary chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła znaleźć słów, które mogłyby mu pomóc, więc milczała.

- Gdy umierała nasza matka, Tommy miał zaledwie dziewięć lat. Rozumiesz, był jeszcze dzieckiem. Ja miałem dwadzieścia lat. Byłem dużo starszy, dużo lepiej przygotowany do życia. Mama prosiła, żebym opiekował się Tom-mym, żebym ułatwił mu stosunki z ojcem.

Przerwał. Hilary widziała nabrzmiewającą na jego skroni żyłę.

- Próbowalem. Uczyłem go grać w futbol, nauczyłem miłosnych podbojów, nauczyłem agresji, nauczyłem tego wszystkiego, co zawsze ceniła rodzina St. George'ów. Wpajałem te cechy, które zapewniłyby mu uznanie ojca, a które mogły być bardzo nieprzyjemne. Zmusilem, by odłożył swoje pędzle, a zajął się grą w golfa i w tenisa - Conner przesunął ręką po włosach. - Tak bardzo się starałem. Skąd mogłem wiedzieć, że pewnego dnia wszystko to obróci się przeciw mnie?

- Nie mogłeś - powiedziała łagodnie Hilary. Widok jego cierpienia przerastał jej siły.

- A jednak... Powinienem był to przewidzieć. - Silnie zacisnął powieki. - Boże, jakąż to była głupota, jaki dowód otępienia! Tommy był nieszczęśliwy i, oczywiście, wszystko partaczył, a to jeszcze bardziej drażniło ojca.

Otworzył oczy i spojrzał gdzieś daleko.

- Byłem głupcem. Zupełnie nie rozumiałem, o co prosiła moja matka.

- O co jej chodziło? - cicho zapytała.

- Nie chciała, żebym zmieniał Tommy'ego, lecz bym go wspierał, uświadamiał ojcu, za co powinno się go cenić. Chciała, bym go bronił - jego głos nabrzmiewał skierowaną ku sobie niechęcią. - Tymczasem stałem się jego wrogiem.

Potrząsnęła głową, wstrząśnięta tym, co słyszy.

- O nie, jestem pewna, że nigdy tak nie uważał.

- Tak. Nawet po śmierci ojca nie dałem mu spokoju.

Zmusiłem go, by porzucił lekcje malarstwa i rozpoczął studia na wydziale zarządzania. Co za bzdura! Oczywiście je zawalił i, jak każde dziecko, w końcu się zbuntował. Zaczął pić i choć dałem mu pracę w naszej firmie, nawet się w niej nie pojawił. Spał do południa, malował do późnego wieczora, a noce spędzał w barach. Potem spotkał Marlene i pomimo mojego sprzeciwu ożenił się z nią. A może właśnie dlatego to zrobił.

- Nie - przerwała Hilary. Przypisywał sobie zbyt wielką winę.

- Ożenił się dlatego, że ją kochał.

- Być może. - Conner tak dalece zajęty był własnymi myślami, że niemal jej nie słyszał. - Ale największą przyjemność sprawiało mu przeciwstawianie się mnie. Gdy mówiłem, że jest dzień, on twierdził, że noc. A ja, podobnie jak wielu rodziców, byłem tak zawzięty, że o każdy drobiazg wszczynałem wojnę.

Ze znużeniem pocierał oczy. Hilary chciała powiedzieć, żeby przestał, że nie musi przeżywać wszystkiego od nowa.

Wiedziała jednak, że dla jego dobra właśnie to jest konieczne. Zbyt długo dusił wszystko w sobie.

- I tak pewnego dnia przyszedł do mnie, domagając się kluczy do przechowalni łodzi. Chciał uruchomić ślizgacz.

- W padającym przez okno słabym świetle twarz Connera przybrała barwę popiołu. - Nie zamierzałem dać mu kluczy. Było jasne, że pił, i że nie powinien niczego prowadzić.

Przyłożył pięść do framugi okna. Wydawało się, że pragnie je rozgnieść, lecz zbrakło mu sił.

- Byłem tak diabło pewny własnych racji, tak nastawiony na dominację, tak przeświadczony, że go chronię... Ale on naturalnie uważał, że chcę nim rządzić. Był wściekły i strasznie mi nawymyślał. Mimo to nie dałem mu kluczy. I ja byłem wściekły. Spór toczył się już tylko o to, czyja wola zwycięży.

Jego ręka opadła, a z piersi wraz z oddechem dobył się jęk. Był to jęk nie dającego się powstrzymać bólu. Hilary wiedziała, że teraz nastąpi kulminacyjny punkt całej historii.

- Nie wiedziałem - mówił trudnym do rozpoznania głosem - że Tommy ma drugi klucz do łodzi. Mógł ją wyprowadzić, kiedy tylko chciał. Jedynym kluczem, który trzymałem, wrzaskliwie broniąc swoich racji, był klucz do przechowalni pomocniczego sprzętu.

Hilary powoli wstała. To, co było dotąd sennym koszmarem, stało się nagle przerażająco rzeczywiste.

- Co... - wyrwało jej się ochryple i niewyraźnie. Odchrząknęła i spróbowała ponownie: - Co było w przechowalni?

- W istocie nic ważnego. - Jego głos był martwy.

- Trochę sprzętu. I kamizelki ratunkowe.

Kamizelki ratunkowe. Z wysiłkiem zbliżyła się do niego. Serce pękało jej na myśl o tym bólu, którego teraz nie słyszała w jego głosie, a który, była pewna, krył się pod złożami poczucia winy i rozpacz. Tego bólu, który powoli go zabijał.

- Conner - powiedziała głosem nabrzmiałym łzami. - Nie mogłeś o tym wiedzieć. Nie mogłeś...

- Tego dnia w łodzi była tylko jedna kamizelka ratunkowa - ciągnął dalej historię, która powoli układała się w całość. - I Tommy dał ją Marlenę. Gdy ślizgacz się rozbił, wyrzuciło ich po prostu w powietrze, ale Tommy miał połamane nogi. Bez kamizelki ratunkowej jego szanse równały się zeru.

Głowa pękała jej z wysiłku, by powstrzymać gwałtownie napływające łzy. Słyszała już o tym wszystkim, i z głębokim

załam myślała o młodym człowieku, który tak głupio zginął. Ale teraz, gdy Conner mówił o tym bezbarwnym, martwym głosem, nie umiała zachować spokoju.

- O mój Boże...

Ujęła jego rękę, starając się go wesprzeć, nie dopuścić, by pograżył się bez reszty w ciemną otchłań rozpacz i poczucia winy.

- I teraz co noc nachodzi mnie ten sam sen - ciągnął dalej monotonnym głosem, jakby jej nie słyszał, nie czuł ręki, spoczywającej na jego sztywnym ramieniu. - Biegnę za nim wzdłuż przystani, wyciągając klucze, i błagam, by je wziął. Ale przystań staje się długa, coraz dłuższa i nigdy nie mogę go dogonić. Zawsze mnie wyprzedza, nie słyszy mojego wołania.

Obrócił się ku niej, patrząc niewidzącym wzrokiem, który przesłoniła mgła cierpienia.

- I dlatego tak bardzo pragnąłem tego dziecka. Ono stwarzało mi szansę. Chciałem naprawić swój błąd, rozumiesz? Na myśl o tym dziecku traciłem rozum. Czasami miałem nadzieję, że zdołam skłonić Marlenę, by pozwoliła mi je wychowywać, choćby przez jakiś czas. Mimo iż w głębi duszy uświadamiałem sobie, że to obłąkańczy pomysł. - Odrzucił głowę w tył. - Byłem w rozpacz, Hilary, nie wiedziałem...

- Wiem. - Położyła mu dłonie na piersi, jakby w ten sposób mogła uspokoić gorączkowe bicie jego serca. - Rozumiem.

Schwycił jej ramiona.

- Rozumiesz?

Skinęła głową, a jego uścisk stał się silniejszy.

- Tego dnia, gdy dowiedziałem się prawdy o dziecku, chciałem zabić Marlenę, ciebie, a może samego siebie.

Wpadłem w szal.

- Wiem - powiedziała. Podniosła rękę, by dotknąć jego twarzy. Miał szorstką, źle ogoloną skórę, tak napiętą, iż wydawało się, że dotyka kamienia. - Nic się nie stało, Conner. To się nie liczy.

- Owszem, to ma znaczenie. - Skłonił głowę na jej rękę, jakby tworzyły kołyskę. - Nie wiem, czy kiedykolwiek potrafisz mi przebaczyć.

- Już ci przebaczyłam - wyszeptła, nie bardzo wiedząc, co do niego mówi, nie bardzo rozumiejąc, co on mówi do niej. Była jedynie świadoma jego cierpienia i za wszelką cenę pragnęła mu pomóc. - To już minęło.

- Sporządziłem zapis majątkowy dla Marlenę - powiedział, zamykając oczy i pozwalając jej dłoniom błądzić po jego twarzy. - Ponadto zabezpieczyłem depozyt dla dziecka. - Wymienił sumę tak wysoką, że na chwilę serce jej przestało uderzać. - Do końca życia nie będzie miała trosk materialnych. Tak, jak życzyłby sobie Tommy.

Dłonie Hilary zeszywniały. Czy dobrze usłyszała?

- Ale - płątały jej się słowa - dlaczego to zrobiłeś? Skoro naprawdę sądzisz, że Marlenę naciągnęła go na to małżeństwo...

- Nie myślę tak, Hilary - odparł tonem, przez który przebijało poczucie całkowitej klęski. - I chyba nigdy tak nie myślałem.

Hilary złapała oddech, niezdolna stłumić urywanego szlochu, natomiast Conner położył jej palec na ustach.

- Wiele myślałem w ciągu tych ostatnich dni - powiedział. - I w końcu zrozumiałem, co powinienem zrobić. Tommy odszedł na zawsze. Nie będę mógł już dowieść, że kochałem go takim, jaki był. Mogę tylko ocalić jego pamięć, respektując tolerancję, którą wyznawał, szanując wielkoduszność, jaką przejawiał, i spełniając to, czego sobie życzył. Mogę zapewnić Marlenę i jej dziecku poczucie bezpieczeństwa. Przecież pragnął je im zapewnić.

Łzy spływały po policzkach Hilary, rozchyliła wargi, nie mogąc złapać tchu.

- Conner - zaczęła łamiącym się głosem - nie musisz tego robić. Marlenę jest winna, ponad wszelką wątpliwość winna...

- Byłem dla niej zbyt twardy - odparł spokojnie. - Widać nigdy naprawdę nie mogłem jej wybaczyć, że ona żyje, a

Tommy zginął. Pewnie dlatego nie uświadamiałem sobie, ile miłości wymagała decyzja, by to jej ofiarować jedyną kamizelkę ratunkową. Nie dostrzegalem nawet, jak szlachetny był to czyn.

Spojrzał głęboko w oczy Hilary, szukając czegoś, czego tak bardzo pragnął, a czego - obawiał się - nie znajdzie.

- Nawet w pijackim szale nie przestał chronić kobiety, którą kochał. Wolał zginąć, niż narazić ją na niebezpieczeństwo.

Drżącymi palcami dotykał łez, które żłobiły jej policzki.

- Może teraz lepiej to rozumiem, gdyż po raz pierwszy w życiu czuję podobnie. Dla ciebie byłbym gotów zrobić to samo i o wiele, o wiele więcej...

Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

- Dla mnie? - wyszeptła, a w jej oczach pojawiło się zapierające dech pytanie.

- Dla ciebie, Hilary - mówił teraz niskim, gardłowym tonem. - Tylko dla ciebie. I chyba - ciągnął, delikatnie ocierając jej łzy - chyba kiedyś dla naszego dziecka. Bo wciąż mam nadzieję, że będzie dziecko, że może tej nocy, gdy do mnie przyszłaś, stworzyliśmy nowe życie...

Potrząsnęła przecząco głową, a łzy z jej oczu spływały tak szybko, że nie nadążała z ich ocieraniem. Płynęły nie kontrolowanym, słonym strumieniem pośród jej palców, niczym gwałtowny potok wśród zwałonych gałęzi.

- Nie - powiedziała, przypominając sobie uczucie pustki, którego doznała. - Tak się nie stało.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, ucałował wilgotne miejsca pod jej oczami.

- A więc musimy spróbować jeszcze raz - ucałował jej mokry policzek. - I jeszcze raz, i jeszcze, aż w końcu nam się uda.

Nie potrafiła wykrztusić słowa. Nagle wewnątrz niej wybuchnął gejzer szczęścia, który zatopił wszelką myśl i odebrał jej zdolność mówienia.

- To znaczy, że ty... że my...

- To znaczy, że nie potrafię bez ciebie żyć - powiedział z żarem, mocniej ją obejmując, jakby obawiał się, że odejdzie. - To znaczy, że jeśli dziś stąd odjedziesz, pojedę za tobą i uczynię wszystko, nie cofnę się przed niczym, byś kiedyś była moja.

- Jestem twoja - wyszeptała. - Jestem twoja od chwili, gdy po raz pierwszy poczułam twój dotyk, i taka już zawsze pozostanę.

Jego oczy czytały w jej twarzy. Początkowo odbijało się w nich zwykle pożądanie, później jednak, gdy przeniknęły do wnętrza jej duszy, złagodniały, nappełniła je tak wielka czułość, że ich spojrzenie stało się pieśczęcią. Hilary wciąż płakała, ale były to łzy szczęścia, łzy, które oczyszczają.

- I ja należę do ciebie - powiedział miękko. - To jedyne, czego naprawdę jestem pewien. Wszystko, co miało dla mnie znaczenie, zanim cię spotkałem, straciło swoją wagę. Sądziłem, że dzień, w którym odkupię Smoczy Potok, będzie najpiękniejszym dniem w moim życiu. Tymczasem nic nie znaczył. Tego dnia cię straciłem i pragnąłem tylko jednego, umrzeć. Gdybym mógł cię wtedy odzyskać, chętnie oddałbym wszystko.

Mimo iż gwałtowność uczucia głęboko ją wzruszała, Hilary próbowała się uśmiechnąć. Jego palce błędziły po jej twarzy, dotykając drżących warg.

- Pragnę tylko ciebie. Niczego więcej nie chcę. Poddawała się jego pieśczęć.

- Ależ chcesz - westchnęła pod dotykiem jego dłoni.

- A ja chcę, żebyś znów zabrał mnie do Ognistych Wodospadów. Chcę ustawić wszędzie zakaz wstępu, tak by całe ich piękno należało tylko do nas, i by nikt nam nie przeszkadzał. To będzie - ciągnęła, całując wewnętrzną stronę jego ręki - nasz prywatny raj.

Dotyk jej warg rozpałił w oczach Connera iskrę, która, jakby biegnąc po łuku elektrycznym, przeniknęła ją do głębi. Żar tego spojrzenia w jednej chwili osuszył jej łzy. Nigdy - coś jej mówiło - nigdy więcej nie będzie łez...

- Raj... - powtórzył. Wolno nachylił ku niej głowę.
- Czy chcesz, bym cię tam zaniósł, moja ukochana?

Skinęła, a jej ciało żyło już tylko pożądaniem. Pragnęła go bardziej niż powietrza, którym oddychała.

Porwał ją w ramiona i unióś w stronę łóżka. Serce dygotało w jej piersi, gdy czekała, by zrzucił ubranie. Zdumiewał ją spokój jego rąk. Jej leżały bezradne, odrętwiałe, niezdolne do rozpięcia jednego guzika. On tymczasem okazał się sprawny za nich dwoje. Klęcząc nad nią, zaczął rozpinać bluzkę, całując każdy aksamitny skrawek ciała, który odsłaniał.

Na koniec, gdy nic już nie dzieliło, jej ręce odzyskały swą moc i zdolność działania, pobudzając jego smukłe muskularne uda, błędząc wokół bioder.

Kiedyś, w przyszłości, która na pewno do nich będzie należeć, przyjdzie czas na cierpliwość, na spokojną miłość. Teraz jednak pożądanie odsunęło na bok wszelkie spokojniejsze uczucia. Wtargnął w nią, niesiony huraganem namiętności, porywem tęsknoty.

Z rozpaczą właściwą dwojgu ludziom, którzy porzucili wszelką nadzieję, przyłgnęli do siebie. Ogarnęła ich burza. Wzmagała się i rosła, by załamać się wreszcie i opaść jak fala odpływu, która znosi wszystko na swojej drodze.

Później, wyczerpana, leżała w ramionach Connera, z głową na jego piersi, on natomiast zanurzył brodę w jej włosach.

- Kocham cię - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. - Kocham cię aż do bólu.

Wyczuła jego łagodny uśmiech.

- Nie, najdroższa - powiedział sennie, przyciągając ją bliżej. - W raju ból nie istnieje.

A potem, przez wiele godzin, podczas gdy popołudnie przemieniło się w złoty zachód, srebrzysty zmierzch i wreszcie w noc, Conner St. George spał twardym snem. I wreszcie usnęły jego koszmary.